

# Księżę i Australijka

Marion Lennox

Tłumaczenie: Wiktoria Mejer

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy zjawił się księżę, Tammy siedziała na drzewie.

To pierwsze było wydarzeniem niezwykłym, to drugie - wręcz przeciwnie. Tamsin Dexter połowę życia spędziła na drzewach. Była specjalistą od leczenia drzew, jednym z najzdolniejszych w całej Australii, choć jednocześnie jednym z najmłodszych.

Należała do zespołu dendrologów opiekujących się parkami narodowymi. Akurat zajmowali się dość odległym zakątkiem buszu. Tego właśnie dnia Tammy pracowała na skraju niedużej polanki zupełnie sama, co lubiła najbardziej ze wszystkiego.

A tu nagle pojawił się Jego Wysokość. A może się myliła? Przecież nie znała się na tym zupełnie. Może to admirał? Ale czy zostaje się admirałem już w okolicach trzydziestki?

Uważniej zlustrowała jego ciemny strój, przypominający mundur, ozdobiony jakimiś wymyślnymi obszyciami, plecionymi sznurami i wstęgą z orderem. Nie, nie admirał, chyba jednak księżę.

Błyszcząca limuzyna księcia zaparkowała dokładnie pod drzewem, na którym siedziała Tammy. Za kierownicą tkwił sztywny szofer w paradnym uniformie. Z samochodu poza księciem wysiadł jeszcze jeden człowiek - tęgawy, dobiegający pięćdziesiątki, w ciemnym garniturze i zbyt ściśle zaciągniętym krawacie. Sprawiał wrażenie wysokiego rangą urzędnika.

I on, i księżę wydawali się kompletnie nie na miejscu w australijskim buszu, ale księżę przynajmniej wyglądał interesująco. I to bardzo.

Był wysokim, barczystym brunetem, a jego gęste, starannie uczesane włosy połyskiwały w słońcu. Ciekawe, jak by wyglądały nieco potargane. Tammy lubiła, gdy mężczyzna miał niefrasobliwie rozczochraną fryzurę. Zwłaszcza jej mężczyzna.

Jej mężczyzna? Śmiechu warte. Nikt taki przecież nie istniał.

Za to księżę z całą pewnością istniał - doskonale zbudowany, nieodparcie męski, a przy tym wykwintny, światowy i... i z zupełnie innej bajki. Wyglądał na jednego z tych, którzy uwielbiają miejskie życie i najlepiej czują się w modnym klubie, gdzie sączą drogie trunki lub delektują się wyrafinowaną kawą. To było kompletnie nie w stylu Tammy. Jej wystarczyło ognisko na biwaku i najtańsza herbata z paroma liśćmi eukaliptusa dla smaku.

Co ci dziwni ludzie robili w sercu australijskiego buszu, ubrani tak, jakby spodziewali się królewskiego przyjęcia? Tymczasem była tu jedynie ona, a w dodatku huśtała się leniwie na

swojej uprząży jakieś dziesięć metrów nad ich głowami.

Czego mogli tu szukać?

- Panno Dexter? - zawołał urzędnik, a Tammy aż ściągnęła brwi ze zdumienia.

Nazywała się Dexter. Przyjechali tu do niej?

- Przecież to nonsens - odezwał się Jego Wysokość. - Kobieta, której szukam, z całą pewnością nie pracuje w takim miejscu!

W duchu przyznała mu rację - nie miała znajomości w arystokratycznych kręgach.

- Panno Dexter? - zawołał ponownie grubas w garniturze, tym razem bardziej nagłaco.

W tym momencie coś ją dziwnie ścisnęło w żołądku. A jeśli oni wcale się nie pomylili? Jeśli naprawdę nie chodzi o żadną inną Dexter, tylko właśnie o nią?

Ogarnęło ją złe przeczucie.

- Panno Dexter? - zawołał tamten po raz trzeci, a ton jego głosu sugerował, że to już ostatnia próba.

Tammy odetchnęła głęboko.

- Tu jestem. Czym mogę służyć?

Mark aż drgnął, słysząc dobiegający jakby z nieba głos.

Od dwudziestu czterech godzin zadawał sobie pytanie, jakim cudem siostra Lary może pracować gdzieś w głębi buszu. Gdy usłyszał to od prywatnego detektywa, nie chciał mu uwierzyć.

- Znalazłem ją. Tamsin Dexter ma dwadzieścia siedem lat, jest niezamężna, bezdzietna, pracuje jako dendrolog w Parku Narodowym Bundanoon, leżącym przy trasie z Sydney do Canberry.

Zdaniem Marka zaszła jakaś pomyłka. Nie pojechałby specjalnie do owego Bundanoon, bo nie miał czasu do stracenia, ale przypadkiem było mu to po drodze. Jako głowa państwa musiał podczas pobytu w Australii złożyć oficjalną wizytę w stolicy - w żadnym wypadku nie mógł się od tego obowiązku uchylić. Skoro więc i tak jechał do Canberry, to w drodze powrotnej do Sydney mógł równie dobrze zajrzeć do tego parku, by mieć czyste sumienie. Ale z góry wiedział, że to nie ta Dexter. Zadarł głowę i omal nie krzyknął ze zdumienia.

Nad jego głową kołysała się drobna, opalona dziewczyna w spranym kombinezonie koloru khaki i mocno zniszczonych traperkach. Miała kręcone, czarne włosy, związane kawałkiem sznurowadła. Niesfornie kosmyki wymykały się spod niego na wszystkie strony. Wyglądała tak, jakby nie czesała się od tygodnia. Ale pewnie on też byłby równie potargany, gdyby siedział z głową w gałęziach.

Jej oczy patrzyły na niego jasno, spokojnie i wyczekująco. Z tej odległości nie rozróżnił ich koloru, a z niejasnych przyczyn nagle bardzo go to zainteresowało. Czy były brązowe - jak oczy Lary? Bo z całą pewnością znalazł siostrę Lary. Detektyw się nie pomylił.

Podobieństwo było tak uderzające, że Mark znów poczuł ogarniającą go wściekłość.

- Czym mogę służyć? - powtórzyła.

- Panna Tamsin Dexter? - upewnił się.

- Aha - odparła z rezerwą.

- Jest mi pani potrzebna.

Obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło wyraźnie, że ma masę pracy i nie zamierza schodzić do każdego, kto ją zawoła. Zwłaszcza do dwóch tak dziwnie ubranych facetów.

- To jest Jego Wysokość książę Mark, regent Broitenburga - oznajmił oficjalnym tonem facet w garniturze. - Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani do nas zejść.

Tammy wołała jednak dalej bezpiecznie huścić się w swojej uprząży. Najwyraźniej nie przejmowała się zanadto perspektywą obrażenia głowy państwa.

- Jeśli to jest książę, to kim pan jest?

- Charles Debourier, ambasador.

- Niech zgadnę. Ambasador Broitenburga?

- Tak.
- A Broitenburg jest... Pewnie gdzieś w Europie? - uśmiechnęła się.

Był to spontaniczny, niewymuszony uśmiech, tak różny od nieszczerych min Lary i tak piękny, że Mark aż oniemiał z zachwytu.

Co też mu przychodziło do głowy? Siostra Lary przecież nie może mnie interesować w najmniejszym stopniu, pomyślał gniewnie.

- Nie wie pani, gdzie leży Broitenburg? - oburzył się Charles, na co ona uśmiechnęła się jeszcze bardziej beztrosko. Miała nad nimi przewagę. Całe dziesięć metrów. Nic nie mogli jej zrobić.

- Nigdy nie byłam dobra z geografii. Zresztą i tak zakończyłam edukację szkolną, gdy miałam piętnaście lat.

Niechęć Mark do tej kobiety jeszcze wzrosła. Nie dość, że siostra Lary, to jeszcze prawie analfabetka. Coraz lepiej.

- Broitenburg leży między Austrią a Niemcami - objaśnił wyniośle Charles.
- Chyba kiedyś coś mi się obilo o uszy. To jedno z tych małych księstewek?
- Wielkość to nie wszystko - rzucił z urazą ambasador.
- Zapewne - zgodziła się uprzejmie. - Miło mi było panów poznać, ale muszę wracać do pracy.

- Mówiłem, że jest mi pani potrzebna – przypomniał chłodno Mark.

Tammy, która właśnie zamierzała wspiać się wyżej, ponownie spojrzała na niego.

- Nie pojedę do Broitenburga - oznajmiła rzeczowo. - Ciągłe ktoś proponuje mi pracę, ale ja nie jestem zainteresowana.

Mark popatrzył na nią ze zdumieniem. Naprawdę myślała, że leciał przez pół świata specjalnie po to, żeby doglądała drzew w jego księstwie? Że właśnie w tym celu błakał się po australijskim buszu w galowym stroju?

Swoją drogą, nienawidził tego paradnego ubioru. Nie znosił zadęcia i pompy. Irytował go napsuszony ambasador i jego ordynarnie wielka limuzyna. To wszystko działało mu na nerwy. Mark szczerze nie cierpiał roli regenta i gorąco pragnął uwolnić się od niej. Tak się jednak złożyło, że spełnienie jego marzeń zależało od tej dziewczyny.

- Nie zamierzam zatrudniać. Chcę, żeby podpisała pani dokument, który umożliwi mi zabranie pani siostrzeńca do Broitenburga, bo tam jest jego miejsce.

Zapadła cisza.

Długa, głęboka cisza.

Tammy podciągnęła się na najbliższą gałąź, usiadła na niej i wbiła wzrok w twarz dziwnego intruza. To było jakieś wariactwo.

Charles odkrył nagle, że po jego lakierkach paradują mrówki, zaczął więc gwałtownie strzepywać je i deptać. To wyrwało Tammy z odrętwienia.

- Pan wybaczy, ale one są pod ochroną – powiedziała tonem salonowej konwersacji. - Jesteśmy na terenie parku narodowego. Tutaj mrówki mają większe prawa niż pan.

Ambasador zaklął, odsunął się, odkrył, że wszedł w jeszcze większą gromadę mrówek, zaklął ponownie, rzucił niepewne spojrzenie na księcia, a gdy ten nic nie powiedział, wzruszył ramionami i wycofał się do samochodu. On już spełnił swoją powinność, więcej nie można od niego żądać. Człowiek nie po to zostaje ambasadorem, by wystawać pod jakimś drzewem i narażać się na ukąszenia mrówek.

- Poprosiłem panią o... - zaczął Mark, lecz Tammy przerwała mu:
- Pamiętam, o co pan prosił, ale nie rozumiem, o czym pan mówi.

Tak, oczekiwał jakiejś wykrętnej odpowiedzi. Czego innego można spodziewać się po kobiecie, która nie przyjechała na pogrzeb siostry ani nie zainteresowała się osieroconym siostrzeńcem? Gdyby nie przepisy, Mark w ogóle nie chciałby jej widzieć, tylko natychmiast zabrałby małego do kraju. Na samą myśl o tym, jak zaniedbano Henry'ego, ogarnęła go

wściekłość.

- Gdyby utrzymywała pani przynajmniej luźny kontakt z opiekunką chłopca, wiedziałaby pani, że chcę zabrać dziecko, ale potrzebuję na to pani zgody.

Przyglądała mu się, jakby miała do czynienia z kimś niespełna rozumu.

- Z jaką opiekunką?

- Niech pani nie utrudnia, tylko podpisze papiery i będzie po sprawie - warknął z furją, nie panując dłużej nad gniewem.

- I tak pani na nim nie zależy. Miała pani sprawować nad nim pieczę, a zostawiła go pani na pastwę losu! Gdyby nie to, że opłacałem opiekunkę, chłopiec trafiłby do domu dziecka. Jest pani jeszcze gorsza niż pani siostra i matka. Takie osoby powinno się wsadzać do więzienia...

- urwał nagle, ponieważ zrozumiał, że to go donikąd nie zaprowadzi. - Przepraszam, nie chciałem pani urazić - wydusił z siebie z trudem. - Potrzebny mi jest tylko pani podpis. Ja zabieram Henry'ego, a pani pozbywa się kłopotu na zawsze.

- Jakiego Henry'ego?

Tego już było za wiele! Nawet nie pamiętała imienia chłopca? Miał ochotę udusić ją gołymi rękami.

- Pani siostrzeńca.

- Ja nie mam siostrzeńca.

Zaskoczyła go tą odpowiedzią.

- Oczywiście, że pani ma!

- Oczywiście jest to, że mnie pan z kimś pomylił. Owszem, mam siostrę, ale kiedy cztery lata temu ostatni raz widziałam Larę, jechała z jakimś milionerem na Lazurowe Wybrzeże i z całą pewnością nie zamierzała rodzić dzieci. Za nic nie chciałaby stracić figury. Siostrę mam, siostrzeńców mieć nie będę. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wrócę do swojej pracy. - Sięgnęła po wiertarkę.

Mark rozumiał z tego wszystkiego coraz mniej. To wyglądało na jakiś absurd. Ale zgadzało się imię Lary, więc nie mogło być mowy o pomyłce.

Co ona powiedziała? Że nie widziały się od czterech lat? Jego gniew przygasł. Ta kobieta mogła w ogóle nie wiedzieć o narodzinach Henry'ego!

- Chwileczkę - zawołał, zanim zdążyła włączyć wiertarkę i zagłuszyć jego słowa. - Lara Dexter była pani siostrą?

- Nie była, tylko jest - parsknęła, lecz w jej głosie pojawił się niepokój.

Tego Mark nie przewidział. Czyżby ta piekielna mamuśka nawet jej nie powiedziała?

Stał przez dłuższą chwilę w milczeniu, wpatrując się w siedzącą wysoko ponad nim dziewczynę i zastanawiał się, co teraz.

- Panno Dexter, niezmiernie mi przykro z powodu tego, co pani za chwilę ode mnie usłyszysz. Pani siostra przed trzema laty poślubiła mojego kuzyna, Jeana-Paula. Pięć tygodni temu oboje zginęli w górach we Włoszech, dokąd pojechali na narty. Zostawili synka, Henry'ego. Chłopiec ma dziesięć miesięcy i obecnie przebywa w Sydney. Opłacałem mu opiekunkę, ale okazuje się, że nie dbano o niego właściwie. Chcę go zabrać do domu, do Broitenburga. Potrzebuję na to pani zgody.

Tammy zamarła. Nie. To niemożliwe.

Popatrzyła ze zdziwieniem na wiertarkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Co to w ogóle za przedmiot i po co go trzyma? Odłożyła narzędzie na skleconą z paru desek podręczną półkę.

Lara nie żyje?

- Nie wierzę w to - powiedziała z trudem gdzieś w przestrzeń.

- Przykro mi.

Coś w niej pękło.

- Przykro panu? - zaatakowała. - To mnie jest przykro! Zjawia się pan nie wiadomo skąd,

ubrany jak na maskaradę, udaje księcia, afiszuje się z limuzyną, szoferem i jakimś nadętym ważniakiem, przeszkadza mi w pracy, depcze po moich mrówkach i jeszcze ma czelność wmawiać mi, że moja siostra nie żyje.

- To niestety prawda. Lara nie żyje - powtórzył Mark.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo!

- Czy nie zechciałaby pani zejść?

- Nie!

- Panno Dexter, nie ucieknie pani przed prawdą. Powtarzam, pani siostra nie żyje. Proszę zejść do mnie.

Przez kilka minut Tammy siedziała bez ruchu na gałęzi i wpatrywała się w uniesioną ku niej twarz stojącego pod drzewem mężczyzny. Była to z pewnością twarz człowieka uczciwego. Szczerego. Dobrego. Silnego. Jego spojrzenie było jasne i spokojne. Ani na moment nie odwrócił oczu. Czekał wytrwale, dając jej tyle czasu, ile potrzebowała, by dotarło do niej to, co powiedział.

W końcu zrozumiała, że może mu wierzyć, a wtedy napłynęła fala bólu. Już nigdy nie zobaczy swojej małej siostrzyczki...

To Tammy zajmowała się młodszą o pięć lat Lara, ponieważ ich matka nie interesowała się dziećmi. Uwielbiała przytulać siostrzyczkę, czesać ją, kołysać do snu. Dzięki niej nie czuła się samotna, nareszcie miała kogoś, kogo mogła kochać, z kim czuła się dobrze. Niestety, z wiekiem Lara stawała się coraz bardziej podobna do matki i gdy podrosła, przejęła jej sposób bycia. Nie miała już ochoty spotykać się z Tammy, która znów została sama. Na szczęście nikt nie mógł jej odebrać wspomnień o tych kilku pięknych, przeżytych z siostrą latach... A teraz Lara nie żyła. Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata.

Tammy zrobiła się biała jak płótno. Zakręciło się jej w głowie. Musiała mocniej przytrzymać się konaru, żeby nie spaść.

- Proszę zejść - zażądał stanowczo Mark.

Miał rację, nie mogła przed tym uciec.

Poprawiła uprząż i zjechała na dół. Robiła to setki razy, mogłaby to zrobić nawet we śnie, tym razem jednak nie uważała i zjechała za szybko. Nie zrobiłaby sobie dużej krzywdy, ale potłukłaby się, gdyby Mark nie ocenił błyskawicznie sytuacji. Skoczył i złapał ją, biorąc na siebie całą siłę uderzenia.

Nieco oszołomiona, stała wsparta o niego, otoczona jego ramionami. Miała rację, był wspaniale zbudowany. Czuła dotyk jego ciała, jego twardych mięśni... Był równie potężny jak ona drobna.

Pochylił głowę i popatrzył na nią z głęboką troską.

- Wszystko w porządku?

Nie, nic nie było w porządku. Najchętniej wtuliłaby twarz w ten jego śmieszny mundur i wybuchła płaczem. Tyle tylko, że nie miała zwyczaju płakać.

- Nic mi nie jest - oznajmiła dzielnie, choć głos jej drżał.

- Naprawdę nie wiedziała pani o śmierci siostry? - spytał ze współczuciem, a gdy nie odpowiedziała, delikatnie ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz, by musiała spojrzeć mu w oczy.

Piękne oczy. Niebieskie i czyste jak jezioro wśród gór. Mogłaby w nich zatonać. Byleby tylko nie myśleć o tym, co się stało.

- Nie - wyszeptwała z trudem. - Nie miałam z nią kontaktu...

- Rozumiem - odparł, lecz widać było, że nic nie rozumie.

- Od jakiegoś czasu nie umiałyśmy się dogadać.

- Tak mi przykro.

Przez chwilę stała bez ruchu, jakby czerpała siłę z jego mocnego ciała, po czym wyprostowała się i odsunęła. Puścił ją, ale... z dziwnym ociąganiem.

- Jak to się stało? - spytała, starając się zapanować nad głosem.

- Wypożyczyli bobslej i zjechali czarną trasą, wie pani, najtrudniejszą, przeznaczoną dla najbardziej doświadczonych zawodników. Czysta głupota! Niestety, byli pijani.

Znowu zrobiło się jej słabo i znów poczuła bolesny skurcz w żołądku. Lara, ty idiotko, coś ty zrobiła...

Nie chciała o tym myśleć. Wołała myśleć o tym, że księżę ma przyjemny, aksamitny głos.

- Byli? Ach, tak, przecież pański kuzyn... Naprawdę wyszła za pańskiego kuzyna?

- Nie chce mi się wierzyć, że pani o niczym nie wie - oznajmił z nagłym gniewem. -

Przecież matka musiała pani powiedzieć!

- To ona wie?

- Oczywiście. Sam po nią pojechałem i przywiozłem ją do Broitenburga na pogrzeb.

No, to matka miała wspaniałą okazję, żeby się popisać. Isabelle Dexter de Bier w roli nieutulonej w bólu matki młodziutkiej księżnej musiała wypaść wspaniale. Z pewnością sprawiła sobie stosowną kreację, nie zapominając o czarnym welonie i koronkowej chusteczce, którą z dyskretną elegancją osuszała nieistniejące łzy.

- Przyjechała sama?

- Nie, z pani ojczymem.

Ciekawe, z którym? Isabelle od dawna nie zwracała sobie głowy legalizowaniem swoich związków, może zresztą i dobrze. Gdy rodziła Larę, była zamężna już po raz czwarty... A teraz odstawiła cyrk na pogrzebie młodszej córki, nie powiadamiając o niczym starszej.

Mark przypatrywał się jej ze zdumieniem.

- Naprawdę pani matka nie skontaktowała się z panią?

- Sądzi pan, że moja matka chciałaby przyznać się do córki, która przesiaduje na drzewach i chodzi tak ubrana?

- Ogarnął ją taki smutek i ból, że nie miała siły dalej rozmawiać. Potrzebowała spokoju, żeby zebrać się w sobie. Wtedy będzie mogła stawić czoło nowej sytuacji. Dopiero wtedy. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym teraz zostać sama. Proszę mi dać wizytówkę, skontaktujemy się jutro.

- To niemożliwe, jutro wracam do Broitenburga, muszę więc dziś wieczorem być w Sydney. Mam te papiery ze sobą, możemy załatwić wszystko od razu. Złoży pani podpis i będzie pani miała tyle spokoju i samotności, ile tylko zapagnie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Żał mu było stojącej przed nim dziewczyny. Wyglądała na załamana. Musiała bardzo przeżyć śmierć siostry i okrutne zachowanie matki. Swoją drogą, jak matka może zrobić coś takiego swojemu dziecku?

Nie, to nie moja sprawa, przypomniał sobie twardo. Miał dość własnych zmartwień. Musiał jak najszybciej wracać do Europy.

Panna Dexter była tak pogrążona w bólu, że z pewnością nie miała głowy do podpisywania czegokolwiek. Rzeczywiście, powinien dać jej czas na ochłonicie, ale czasu akurat nie miał. W grę wchodziło bezpieczeństwo i przyszłość jego kraju oraz dziedzictwo Henry'ego. I jego własna wolność.

- Wystarczy jeden pani podpis - powtórzył, ruszając w stronę samochodu. - Dokumenty mam ze sobą, to kwestia paru minut.

Tammy nawet nie drgnęła.

- Nie rozumiem.

Odwrócił się do niej. Była straszliwie blada. Wydawało się, że za moment zemdleje. Powodowany współczuciem, odruchowo wyciągnął ku niej rękę, ale szybko cofnął ją z

zakłopotaniem. I tak nie mógł jej pomóc.

- Nie rozumiem - powtórzyła bezradnie. - Pan mówi o dziecku, ale gdyby Lara zaszła w ciążę, powiadomiłaby mnie o swoich kłopotach...

- Nie miała żadnych kłopotów. Poślubiła panującego księcia i opływała w takie luksusy, jakich pani nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

- Ale ona nigdy nie chciała mieć dziecka! - zaprotestowała Tammy.

Mark pokiwał głową. Tak, to by pasowało do Lary.

- Jean-Paul potrzebował dziedzica. Nie ożeniłby się z pani siostrą, gdyby nie zgodziła się na to.

Powoli wszystko zaczynało układać się w sensowną całość. Dla jej matki i siostry liczyły się w życiu jedynie pieniądze i prestiż. Lara musiała ocenić, że warto zająć w ciążę i urodzić dziecko w zamian za małżeństwo z władcą.

- Rozumiem. Zostało więc dziecko. Henry. Ale co chłopiec robi w Sydney?

- Cztery miesiące temu pani siostra wysłała go do Australii.

- Dlaczego?

- Gzy to ma jakieś znaczenie?

Po chwilowym załamaniu znowu ogarnął ją gniew, tym razem jeszcze większy niż poprzednio.

- Przyjeżdża pan do mnie, opowiada mi straszne rzeczy, a gdy zaczynam zadawać pytania, odpowiada pan: „Czy to ma jakieś znaczenie?” - Zmrużyła oczy i zmierzyła go zimnym spojrzeniem. - Moja matka nie zawiadamia mnie o śmierci siostry, ta nie informuje mnie o urodzeniu dziecka, nikt przez lata nie utrzymuje ze mną kontaktu. I nagle zjawia się pan z żądaniem podpisania jakichś papierów. Czemu nagle moje zdanie stało się takie ważne? Mark zaczynał przeczuwać, że to będzie trudniejsze, niż przypuszczał.

- Lara wyznaczyła panią na prawną opiekunkę dziecka w razie jej śmierci. Gdyby Henry przebywał dalej w Broitenburgu, nie byłoby problemu, ale on jest w pani kraju, a prawo australijskie nie pozwala mi zabrać dziecka do jego ojczyzny bez pani zgody.

Przez długą, bardzo długą chwilę Tammy patrzyła na niego bez słowa, bez ruchu, niemal bez mrugnienia powieką. Następnie zdjęła z siebie uprząż, wyjęła z kieszeni krótkofalówkę i włączyła ją.

- Doug? Właśnie się dowiedziałam, że moja siostra nie żyje, a jej dziecko zostało samo w Sydney. Muszę tam jechać. Natychmiast. Zostawię wszystko na miejscu. Zabierzesz moje rzeczy z powrotem do obozu?

Krótkofalówka zatrzeszczała i Mark usłyszał męski głos. Nie rozróżniał słów, ale bez trudu zorientował się, że rozmówca panny Dexter był poważnie zaniepokojony i zatroskany.

- Tak, to ten człowiek, któremu wskazałeś drogę. Nie, nie znam go, ale to, co mówi, brzmi wiarygodnie. Nie mam wyjścia, muszę jechać - odpowiedziała Tammy. - Nie mam pojęcia, kiedy wrócę, na razie niech Lucy zajmie się moim drzewem. Ona będzie wiedziała, co dalej z nim zrobić. Będę w kontakcie.

Położyła krótkofalówkę i uprząż pod drzewem i zarzuciła na ramię wysłużony plecak. Ani śladu zdenerwowania, wahania czy jakichkolwiek wątpliwości. Każdy jej ruch był celowy i świadczył o determinacji.

- Podobno jedzie pan do Sydney, tak? - spytała rzeczowo. - Proszę mnie zabrać ze sobą.

- Po co?

- To chyba oczywiste - niemal warknęła. - Mam siostrzeńca i jestem jego prawną opiekunką...

- On pani nie potrzebuje.

Zatkało ją.

- Taak? A kto go kocha?

Teraz na moment zatkało jego.

- Cóż... Na razie ma przy sobie nianię, a gdy tylko wróci do Broitenburga, zatrudnię kogoś kompetentnego.

- Nie pytałam o kompetencje - skwitowała zimno.

Mark nie umiał odpowiedzieć.

- Czemu Lara go tu przysłała?

- Nie wiem, sam się dziwię - przyznał szczerze. - Cztery miesiące temu Lara i Jean-Paul bawili w Paryżu, potem pojechali do Szwajcarii i do Włoch. Nie widziałem ich przez cały ten czas i dopiero po wypadku dowiedziałem się, że dziecko przebywa w Australii.

Poniewczasie zorientował się, jak musiało to zabrzmieć. Oficjalnie i zimno.

- To znaczy, Henry - poprawił się pospiesznie, ale i tak za późno, Tammy zaczęła przyglądać mu się z ogromną rezerwą.

- A zatem Henry ma dziesięć miesięcy i jest następcą tronu, tak? A pan zamierza zabrać go do swojego zamku i wynająć kompetentną osobę, która będzie się nim opiekować tak długo, aż dorośnie i będzie mógł zostać królem?

- Księciem - poprawił. - Broitenburg nie jest królestwem, tylko księstwem.

Wzruszyła ramionami.

- A co to za różnica? - rzuciła obojętnie. - Jest pan żonaty?

- Słucham?!

- Chyba mówię wyraźnie, prawda? Jest pan żonaty?

- Nie, ale co to ma...

- To kto będzie matkował Henry'emu?

- Zapewnię mu najlepsze opiekunki, zaręczam pani.

- O tym to ja zdecyduję - odpaliła. - Bez mojej zgody nie może pan nic zrobić.

Miała go w garści. A wydawało mu się, że to będzie takie proste - zabrać dziecko i wracać.

- Jeżeli zacznie pani robić mi trudności w zabraniu chłopca do domu, wystąpię o przeniesienie prawa do opieki na mnie - zagroził. - Z łatwością je uzyskam, ponieważ do tej pory nie wywiązywała się pani ze swoich obowiązków wobec siostrzeńca.

- I na pewno z łatwością uda się panu uzyskać je już jutro - skwitowała ironicznie. - Życzę powodzenia.

Mark z trudem panował nad sobą. Najpierw przez całe miesiące nikt się dzieckiem nie interesuje, a teraz, gdy on chce mu zapewnić wszystko, co najlepsze, nagle jakaś obca kobieta zaczyna stroić fochy!

- Załedwie piętnaście minut temu nic pani nie wiedziała o jego istnieniu - przypomniał chłodno. - Nie ma żadnego powodu, dla którego mogłoby pani zależeć na tym dziecku.

- Jest jeden. Najważniejszy. To moja rodzina. - Z determinacją podeszła do limuzyny, otworzyła przednie drzwi, rzuciła plecak na podłogę i zajęła miejsce obok szofera. - Henry może mnie potrzebować. Najpierw muszę go zobaczyć, bez tego niczego nie podpiszę. Albo więc zawiezie mnie pan do Sydney, albo złapię okazję. Co pan woli?

Podróż przebiegała w napiętym milczeniu.

Mark nie posiadał się ze zdumienia. Jakim cudem ktoś może tak po prostu wziąć swoje rzeczy i ruszyć w drogę? Wszystkie znane mu kobiety potrzebowałyby kilku godzin, żeby się spakować, o czasie potrzebnym na podjęcie decyzji nie wspominając. Tammy zachowywała się tak, jakby miała w plecaku wszystko, co jej do życia potrzebne.

- Mam jednoosobowy namiot, śpiwór, szczoteczka do zębów i zapasy na dwadzieścia cztery godziny - odpowiedziała, gdy ją o to spytał. - To mi wystarczy.

- Owszem, w buszu, ale w Sydney? Rozbije pani namiot w parku?

Posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Wynajmę pokój w hotelu. Dam sobie radę. Proszę mnie tylko zawieźć do mojego siostrzeńca - powiedziała zimno i ponownie odwróciła się do niego plecami.



Mark już wiedział, czym ją przekona. Pieniędźmi. Z pewnością liczyła się z każdym groszem, więc nie pogardzi okrągłą sumką. Jej siostra wyszła za mąż dla pieniędzy, ich matka uwielbiała luksusy - to musiało być u nich rodzinne. Oczywiście, nie mógł zaproponować pieniędzy teraz, kiedy kipiała złością, bo cisnęłaby mu je w twarz. Poczekaj, pokaże jej dziecko, uświadomi, ile kosztuje odpowiednie wychowanie i staranne wykształcenie, a wtedy sama dojdzie do wniosku, że nie stać jej na zatrzymanie siostrzeńca w Australii.

Miał na to jeden wieczór i jedną noc.

Nie mógł odkładać powrotu do kraju. Przedłużenie wyjazdu nawet o jeden dzień miałyby katastrofalne skutki. Wszystko poszłoby zgodnie z jego planem, gdyby Lara nie wykazała się przebiegłością, o jaką jej nie podejrzewał. Nie dość, że wysłała synka do swojej ojczyzny, to jeszcze postarała się o odpowiedni wpis do dokumentów, dzięki czemu Henry miał teraz podwójne obywatelstwo. I koszmarną ciotkę, która robiła nieprzewidziane trudności.

- Kto się nim zajmuje? - rzuciła Tammy, nie racząc nawet spojrzeć na księcia.
- Już pani mówiłem. Niania.
- Pamiętam. Chodzi mi o to, jaka ona jest.
- Przykro mi, ale nie mogę udzielić pani bliższych informacji.
- To pan jej nie zna?! Nie wie pan, kogo pan zatrudnił do opieki nad Henrym?

Mark stropił się.

- To jakaś młoda Australijka - powiedział z ociąganiem. - Zatrudniłem ją przez agencję. Robiłem to w olbrzymim pośpiechu, bo nagle okazało się, że nikt o niego nie dba. Pani matka wcale się nim nie zajmowała.

Tammy obróciła się gwałtownie i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- A niby czemu miała by się nim zajmować? Dzieci w ogóle jej nie obchodzą! Pokiwał głową. Przynajmniej w tym jednym się zgadzali.

- Teraz już to wiem, nawet za dobrze. - Na wspomnienie Isobelle skrzywił się z najgłębszą niechęcią. - Z moich informacji wynika, że pani matka widziała się z Lara w Paryżu, kiedy Henry miał sześć miesięcy. Córka poprosiła ją, by wracając do Australii, zabrała wnuka ze sobą. Isobelle zatrudniła nianię, przyleciała do Sydney, wynajęła apartament w luksusowym hotelu, zostawiła tam wnuka z opiekunką i więcej się nie pojawiła. Lara miała za wszystko płacić, ale pieniądze przychodziły nieregularnie, aż w końcu w ogóle przestały przychodzić i niania zrezygnowała z pracy. Nie miałem o niczym pojęcia. Podczas pogrzebu Isobelle zapewniała mnie, że Henry ma się dobrze. Byłem przekonany, że chłopiec przebywa u swojej rodziny ze strony matki... Dopiero w zeszłym tygodniu otrzymaliśmy oficjalną wiadomość od władz australijskich, że chłopiec został porzucony i trafi do domu dziecka. Zatrudniłem opiekunkę przez agencję, opłaciłem hotel dla niej i dziecka i przyjechałem do Australii najszybciej, jak tylko mogłem.

Tammy parsknęła z furją i ponownie odwróciła się do niego plecami, wyraźnie wściekła na wszystkich i wszystko. Wcale jej się nie dziwił, sam odczuwał coś podobnego. Gdy tylko dowiedział się, co naprawdę dzieje się z Henrym, natychmiast zaczął szukać Isobelle, by zażądać wyjaśnień. Nie było wcale łatwo ją wytropić, ale nie zamierzał puścić tego płazem i w końcu zdobył jej aktualny numer. Właśnie bawiła w Teksasie, zbyt zajęta nowym kochankiem, by pamiętać o śmierci córki i przejmować się wnukiem.

- To nie moja sprawa - zbyła go. - Ja swoje zrobiłam. Zawiozłam dziecko do Sydney i zostawiłam pod dobrą opieką. Nie moja wina, że Lara nie opłacała opiekunki i że ta w końcu miała dosyć.

Wielka szkoda, że Jean-Paul nie żył. Gdyby żył, Mark udusiłby go gołymi rękami. Jak można być tak nieodpowiedzialnym draniem?!

- Odtąd Henry będzie miał najlepszą opiekę - powiedział przez zaciśnięte zęby, patrząc na odwróconą Tammy.

- Obiecuję to pani, panno Dexter.

- Oczywiście, że będzie miał najlepszą opiekę - mruknęła ze złością.

Nie mówiła do niego, tylko do siebie.

Zatrzymali się pod najbardziej luksusowym hotelem w Sydney. Umundurowany portier otworzył drzwiczki limuzyny, zgiął się w ukłonie przed księciem i łypnął podejrzliwie na Tammy. Ona z kolei patrzyła na gruby czerwony chodnik prowadzący do wielkich szklanych drzwi, na bijące po obu stronach wejścia niewielkie fontanny, na widoczne w głębi holu kryształowe żyrandole i stojący na podeście fortepian. Ze środka dobiegały dźwięki preludium Chopina. I to miało być odpowiednie miejsce dla kilkumiesięcznego dziecka? Jego Wysokość ewidentnie nie miał problemów finansowych, ale chyba brakowało mu wyobraźni...

Charles, który również wysiadł, przypatrywał się Tammy z takim niepokojem, jakby mogła Marka czymś zarazić.

- Naprawdę Wasza Księżęca Mość nie chce wrócić na noc do ambasady? - spytał niemal błagalnie.

- Nie, zostanę w hotelu. Proszę przyjechać po mnie i chłopca jutro o jedenastej rano. Lecimy o drugiej po południu.

- Jak Wasza Księżęca Mość sobie życzy. - Charles skłonił się, wszedł do limuzyny i odjechał.

Zostali we dwoje na paśowym chodniku. Księżę i... księżniczka? Tammy popatrzyła po sobie i niemal się roześmiała, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- Proszę mnie zabrać do Henry'ego.

- A nie chce pani najpierw odświeżyć się po podróży?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Sądzi pan, że będzie miało dla niego znaczenie, jak wyglądam? Że oceni mnie po zakurzonym ubraniu?

- No... Raczej nie.

- To na co pan czeka?

Pochwyciła nieufne spojrzenie portiera. Najchętniej kazałby jej się stąd zabierać. Wyglądała na taką, co tylko sprawia eleganckim gościom kłopoty.

- Proszę się nie obawiać, nie zamierzam obrabować Jego Wysokości - oznajmiła mu. - Przyjechałam się z kimś zobaczyć. Z kimś bardzo ważnym.

Z podniesioną głową weszła do środka, a księciu nie pozostało nic innego, jak podążyć za nią.

Wjechali na szóste piętro. Mark pukał kilkakrotnie, zanim drzwi się wreszcie otworzyły. Tammy bezceremonialnie odsunęła go na bok i jak bomba wpadła do środka. Nawet nie spojrzała na zapierającą dech w piersiach panoramę z widokiem na słynną operę. Obchodził ją tylko Henry.

Do złudzenia przypominał malutką Larę!

Taka sama burza cudownie miękkich czarnych loczków, takie same brązowe oczy, wielkie na pół twarzy. Różnica była tylko jedna - na buzi Lary niemal nieustannie gościł najpiękniejszy na świecie uśmiech, podczas gdy jej synek...

Henry siedział w rogu łóżeczka i apatycznie patrzył przez okno. Na chwilę odwrócił głowę w stronę wchodzących, ale jego oczy pozostały puste i bez wyrazu. To dziecko na nikogo i na nic już nie czekało, więc nie potrafiło się ucieszyć na czyjś widok.

W całym pokoju nie było ani jednej zabawki, za to grał telewizor, a na stoliku leżał porzucony w pośpiechu kolorowy magazyn. I to miała być opieka nad dzieckiem! Wielkie nieba!

Tammy upuściła plecak na podłogę, w ułamku sekundy znalazła się przy łóżeczku i porwała chłopczyka w objęcia. Wtuliła twarz w jego włoski. Dopiero teraz uwierzyła w to, co powiedział Mark. Rzeczywiście miała siostrzeńca. Henry istniał naprawdę, można było go

dotknąć.

Rozpłakała się - ona, która od lat nie uroniła jednej łzy.

Dziecko nie zareagowało w żaden sposób. Jego ciało pozostało sztywne, obojętny wyraz jego ślicznej buzi nie zmienił się ani na jotę.

Po jakimś czasie Tammy uspokoiła się nieco. Obok stał fotel, więc opadła na niego i posadziła sobie chłopczyka na kolanach, by mu się uważniej przyjrzeć. Przez chwilę patrzył na nią obojętnie, a potem jego apatyczny wzrok powędrował z powrotem do okna, jakby to było dla niego bardziej interesujące niż widok ludzkiej twarzy.

- Henry? - szepnęła czule Tammy, ale malec nawet nie drgnął.

- Jeszcze nie reaguje na swoje imię, ma dopiero dziesięć miesięcy - wtrąciła opiekunka, która do tej pory milczała niepewnie. Wyglądała na szesnaście lat, nie więcej.

- Już siedzi. Czy raczkuje?

- Aha.

- To nie widzę powodu, dla którego nie miałby reagować w jakikolwiek sposób, gdy ktoś do niego mówi - odparła zimno Tammy. - Czy sam już próbował coś powiedzieć?

- Nie, a powinien?

Faktycznie, skoro nie ma do kogo mówić, to po co się starać? Ona też zobojętniałaby na wszystko i nie umiałaby nawiązać kontaktu, gdyby całymi dniami i tygodniami musiała wpatrywać się w ten sam widok za oknem. Jak więzień...

Ogarnęła ją dzika furia.

- Czy pani w ogóle się z nim bawi?

Tamta ukradkiem zerknęła na porzucony magazyn.

- Oczywiście.

- Akurat! - wysyczała zduszonym szeptem Tammy, starając się nie przestraszyć małego, którego przytulała mocno do siebie, jakby pragnęła go obronić przed całym światem. Miała szaloną ochotę komuś przyłożyć. - Dziecko, o które się dba, nie zachowuje się w taki sposób!

- Kylie może nie ma największego doświadczenia, została zatrudniona w nagłym trybie, sytuacja była awaryjna - odezwał się pojednawczym tonem Mark.

- A przedtem? Co było przedtem? - zaatakowała Tammy. - Czy on od urodzenia przebywał z kimś pokroju Kylie?

Mark zawahał się.

- Możliwe. Nie wiem.

- Właśnie! - Tammy zerwała się na równe nogi. - Czy ktokolwiek wie, co się działo z moim siostrzeńcem przez ten cały czas? Czy ktoś się nim zajmował? Tak, jest zdrowy, odżywiony i czysty, ale czy ktoś bawił się z nim w kosi, kosi łapci? Czy ktoś go choć raz przytulił? Czy ktoś go w ogóle kochał? - Trzęsła się z niepohamowanej złości.

- Kiedy wróci do domu, otrzyma najlepszą opiekę - zapewnił ponownie Mark.

- On jest w domu! Jego dom jest tutaj, w Australii. Henry zostaje ze mną. Lara zrobiła najmądrzejszą rzecz na świecie, czyniąc mnie jego prawną opiekunką. Jestem jej wdzięczna. Panu również, panie księżę czegoś tam, za to, że mnie pan poinformował o całej sprawie. Pańska rola skończona. Zabieram chłopca i jego rzeczy. Od razu.

- Ale...

- Żadnego ale! Mam do tego pełne prawo, a wy wszyscy możecie iść do diabła!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Tammy przeszła przez apartament jak tornado, rzucając na fotel wszystko, co było dziecku potrzebne. Ani na moment nie przestała przytulać chłopczyka do siebie, jakby w obawie, że Mark go porwie.

- Czy możemy porozmawiać? - poprosił księżę, pragnąc przemówić jej do rozumu.
- Nie ma o czym - rzuciła przez ramię.
- Nie może go pani tak po prostu wziąć ze sobą.
- Nie mogę? A niby dlaczego?
- Nie stać pani na utrzymanie dziecka.

Odwróciła się do niego jak wcielenie furii.

- Owszem, nie stać mnie na coś takiego. - Wzgardliwym gestem wskazała luksusowy apartament. - Ale Henry nie potrzebuje zbytku, płatnych opiekunek i hotelowej obsługi. Potrzebuje kogoś, kto będzie go nosił na rękach, śmiał się do niego i bawił się z nim, a tego pan nie może mu zapewnić. Udowodnił to pan aż nazbyt dobrze. - Znów się odwróciła, chwyciła ze stołu torebkę z mlekiem w proszku i gniewnie rzuciła ją na fotel, po niej drugą. - Niech pani będzie rozsądna! Nie mówimy o opływananiu w luksusy. Utrzymanie dziecka to poważne koszty, a pani nie ma dość pieniędzy.

- Kto powiedział, że nie mam?
- Przecież wystarczy na panią spojrzeć - wyrwało mu się, i to był błąd.

Tammy zauważyła trzecią torebkę, tym razem otwartą. Złapała ją i cisnęła prosto w Marka.

Trafiła w tors. Chmura białego proszku na moment wzbiła się w powietrze, a potem opadła, obsypując grubą warstwą paradny strój księcia. Cała trójka dorosłych zamarła na długą chwilę.

- Przepraszam - wydusiła w końcu z siebie Tammy. - Nie powinnam była.
- To mój najlepszy strój - zauważył Mark, ale głos mu podejrzenie drżał.

Czy to możliwe, by z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu? I czemu nagle i ją naszła nieodparta ochota, by się roześmiać?

- W domu pewnie ma pan ze sto takich.
- Ale nie jestem w domu.
- No to będzie musiał pan jechać tak do Europy.
- Na szczęście mam ze sobą jeszcze jakieś ubrania.

- Rozumiem. Gronostaje i złotą koronę? - Zauważyła, że zaczęli się droczyć, a w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Księżę, nawet obsypany mlekiem w proszku, nadal wyglądał zabójczo. Pospiesznie więc odwróciła wzrok i skoncentrowała się na leżących na fotelu rzeczach. - Potrzebuję to w coś włożyć.

- Kylie, jest tu jakaś torba? - spytał Mark, nie odrywając roziskrzonego wzroku od Tammy.

- Nie wiem - odburknęła niechętnie nastolatka. - Skoro ta pani zabiera dziecko, to znaczy, że jestem zwolniona, tak? Liczyłam na...

- Ta pani ma prawo zabrać małego, to jej siostrzeniec. Ale zapłacę ci do końca miesiąca. Kylie rozpromieniła się.

- W szafie jest walizka - poinformowała, nagle skłonna do pomocy. - Czy może przypadkiem to pani jest ciocią Tammy?

- Skąd wiesz?!

- W walizce jest list z napisem: „Ciocia Tammy”. W cudzysłowie, jakby to był jakiś dowcip. Bez adresu, bo gdyby był zaadresowany, wysłałabym go.

- Przynies ten list - zażądał Mark, jakby liczył na jakiś pomyślny obrót sprawy. Może w tym liście będzie coś, co skłoni tę nieobliczalną kobietę do namysłu?

- Walizkę też! - zawołała za nią Tammy.

Zostali tylko we troje. Henry nadal zachowywał kompletną bierność. Żeby się chociaż rozplakał, zaczął krzyczeć, cokolwiek!

- Panno Dexter...
- Tammy.

Skłonił głowę.

- Miło mi. Mark. Tammy, musimy porozmawiać.
- Cały czas to robimy.
- Obiecuję ci, że zadbam o niego.
- Zatrudniając kolejną Kylie? - parsknęła. - Powinieneś być od razu po niego przyjechać.

Nie spieszyło ci się. Na szczęście nie musisz się o niego więcej martwić. Teraz nareszcie trafił w dobre ręce.

- Nie rozumiesz. Potrzebuję go.

Uniosła brwi.

- Potrzebujesz go? Dlaczego?
- Jest następcą tronu.

Wzruszyła ramionami, ponieważ to wyjaśnienie brzmiało dla niej absurdalnie.

- Może nim być w Australii. Jak dorośnie, sam zdecyduje, czy ma ochotę zostać władcą.

Na razie ja się nim zajmę. Ty i zatrudnieni przez ciebie ludzie w ogóle się do tego nie nadajecie.

- A ty się nadajesz? - odparował z irytacją.
- Wyobraź sobie, że tak. Nawet mam w tym spore doświadczenie.
- Mocno w to wątpię.
- Ty wątpisz w moją zdolność do zaopiekowania się Henrym, a ja w twoją. Jak widać, dobrana z nas para. Nie, te słowne utarczki nie zaprowadzą donikąd.

- Posłuchaj, naprawdę powinniśmy spokojnie porozmawiać. Zostań na noc w hotelu, dobrze? Ja zapłacę.

Wszystko się w niej zagotowało, ale jakoś się pohamowała.

- Ooo! - powiedziała z udanym zachwytem. - W tym hotelu? Naprawdę? I dostanę łóżko z baldachimem, a obsługa będzie mi się kłaniać?

- Po co ta ironia?
- Po co robisz ze mnie żebraczkę?
- Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu musisz gdzieś przenocować, a nie ma sensu chodzić z malutkim dzieckiem po mieście, szukając odpowiedniego miejsca.

Hm, to brzmiało całkiem sensownie... Mark zauważył jej wahanie i postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Zostań. Kylie zajmie się dzieckiem, a my spokojnie porozmawiamy.

- Jeśli jeszcze raz powiesz o nim „dziecko”, zabiorę się stąd natychmiast i tyle będziesz go widział - zagroziła. - On ma na imię Henry i najwyższa pora, żeby zaczęto go wreszcie traktować jak osobę, chociaż jeszcze niedużą. Dla tego żadna Kylie nie będzie więcej przy nim oglądać telewizji. I nie trzeba go upychać gdzieś po kątach, możemy porozmawiać przy nim.

- Wolałbym nie.

- Twoja strata. - Wzięła od Kylie walizkę i wrzuciła do niej rzeczy, które chciała zabrać, jednocześnie ani na moment nie przestając przytulać chłopczyka do siebie. Robiła wszystko z taką swobodą, jakby zajmowanie się dzieckiem było dla niej czymś naturalnym. Henry powolutku zaczynał się rozluźniać, już nawet opierał główkę na jej piersi.

Mark wodził za nią zdumionym wzrokiem. Nigdy w życiu nie spotkał podobnej kobiety. Była inteligentna, samodzielna, wiedziała, czego chce. Nie imponowały jej jego pozycja, tytuł, władza. Robiły wrażenie na każdym - a zwłaszcza na każdej - ale nie na niej.

Jak więc miał na nią wpłynąć? Z desperacją zacisnął powieki. Gdy ponownie otworzył oczy, spostrzegł zaintrygowany wyraz twarzy Tammy.

- Ty chyba rzeczywiście masz poważny problem? - spytała, a w jej głosie po raz pierwszy zabrzmiało współczucie.

Zdecydował się na absolutną szczerość, bo nic innego już mu nie pozostało.

- Tak. Naprawdę znalazłem się w ciężkim położeniu.

Zastanawiała się przez chwilę.

- W porządku, zostanę na noc w hotelu. Przez parę godzin chcę побыć tylko z Henrym. Kiedy zaśnie, zjemy razem kolację i pogadamy. Zgoda?

Chwilowo nie miał szans utargować nic więcej, więc przystał na propozycję.

- Zgoda.

Tammy zamknęła walizkę, wzięła od Kylie list i wrzuciła go do plecaka.

- Dobrze, a teraz znajdę sobie pokój.

- Nie ma potrzeby - zaproponował Mark. – Apartament został wynajęty do końca miesiąca.

- Miałabym mieszkać na twój koszt? O, nie. Nie będę ci nic zawdzięczać, mości książę.

Ide wynająć sobie pokój. Kolację zjemy o siódmej. Do tej pory proszę mnie nie niepokoić.

Tammy siedziała z Henrym na środku wielkiego hotelowego łóżka. Podrzuciła go, przytulała, obsypywała pocałunkami, próbując wywołać na jego buzi chociaż jeden uśmiech. Na próżno.

Zamówiła do pokoju porcję jedzenia dla niemowląt. Gdy przyniesiono duszone jabłka, posadziła sobie Henry'ego na kolanie i nabrała trochę jedzenia na łyżeczkę. Chłopczyk automatycznie otworzył buzię, ale Tammy nie zamierzała go karmić w taki sposób, w jaki robiono to dotychczas. Zrobiła to samo, co robiła przed laty z Lara.

- Ziuuuu! - łyżeczka przeleciała przed nosem biernie czekającego chłopczyka. - No, Henry, musisz złapać samolocik. Ziuuuu!

Mały patrzył na zbliżającą się i uciekającą łyżeczkę, jakby ta go zdradziła. Nie rozumiał, że to zabawa. Nie umiał się bawić. łyżeczka dotknęła języka malca i znowu odleciała, i ponownie zanurkowała jak mały aeroplan. Tammy zaśmiała się zachęcająco.

- Jeszcze raz! - zawołała wesoło. - I jeszcze!

Wreszcie za piątym razem...

Oczy malca rozblęły jak dwie gwiazdki, a z jego gardziółka wydobył się rozkoszny gulgot. Uszczęśliwiona Tammy porwała go w objęcia i mało brakowało, by rozplakała się ponownie.

Kiedy chłopczyk został już nakarmiony i zasnął, z ociąganiem położyła go do łóżeczka. Nie miała ochoty rozstawać się z nim ani na moment. Całe jej dotychczasowe życie zostało wywrócone do góry nogami. Nie wiedziała, co pocnie dalej, ale jedno było pewne - ona i Henry będą odtąd nierozłączni.

Do siódmej zostało jeszcze pół godziny. Tammy wzięła prysznic, umyła włosy, przebrała się w zapasowe dzinsy i prostą bawełnianą bluzkę - w plecaku nie miała nic innego - a potem wyjęła zaadresowaną do siebie kopertę i otworzyła ją.

List napisała Lara. Gdyby Tammy wiedziała o wszystkim wcześniej, nie poprzestałaby na zajęciu się Henrym, lecz spróbowałaby wkroczyć do akcji i uratować siostrę. Niestety, list przeleżał całe cztery miesiące w walizce...

Kiedy rozległo się pukanie, Tammy miała ochotę rozszarpać księcia i całą jego rodzinę. Gotując się ze złości, szybko podeszła do drzwi, otworzyła je gwałtownym ruchem i... na widok stojącego za nimi mężczyzny na moment zapomniała o wszystkim.

Jego Wysokość książę Broitenburga w galowym stroju prezentował się zabójczo, ale zwyczajny Mark w dzinsach i rozpiętej pod szyją koszuli wyglądał jeszcze atrakcyjniej. Teraz nie był już gładko uczesany, uroczo potargane włosy opadały mu kosmykami na czoło, niebieskie oczy patrzyły pogodnie, a na opalonej twarzy widniał uśmiech, jakiemu żadna kobieta nie mogłaby się oprzeć.

Dzielił ich tylko jeden krok i Tammy miała nieprzepartą ochotę ten krok zrobić.

- Czy Henry już zasnął? - spytał Mark.

- Tak. Wejdz.

- Przyniosłem mu coś. - Podał jej pluszowego misia i uśmiechnął się jeszcze szerzej na

widok jej zdumionej miny.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie tego mu teraz potrzeba?

Spoważniał.

- Może to cię zdziwi, ale nie jestem zupełnie pozbawiony wrażliwości.

Obróciła misia w dłoniach. Był w sam raz. Nie za duży, nie za mały, mięciutki, z łapkami, które nie sterczały sztywno, tylko poruszały się zabawnie. Na pyszczku miał troszeczkę krzywy uśmiech uroczego zawadiaki. Idealny miś do kochania.

- Gdzie go znalazłeś? - spytała z zachwytem.

- W dwudziestym sklepie, do którego wszedłem. No, może trochę przesadzam, ale niewiele. Trudno dostać dobrego misia, większość zabawek jest do niczego.

Tammy podeszła do łóżeczka i z czułością ułożyła misia przy twarzyczce Henry'ego.

- Och, Mark... - powiedziała zdławionym głosem. On jednak nie słuchał. Rozglądał się dookoła z dezaprobatą.

- Chwileczkę, przecież dzwoniłem do recepcji i kazałem, żeby ci dano apartament z oddzielną sypialnią, a tu jest tylko jeden pokój. W takich warunkach nie da się zjeść kolacji ani porozmawiać.

- Nie chciałam apartamentu.

- Dlaczego? Ja płacę.

Chwilowe porozumienie, osiągnięte dzięki misiowi, poszło w niepamięć.

- Sama zapłacę. Nie potrzebuję twojej łaski!

Mark uśmiechnął się pobłażliwie, a ją ogarnęła furia. Proszę, książę był rozbawiony buntem ludu...

- A jak ci się tutaj nie podoba, to możesz sobie iść!

To już go nie bawiło. Lud mógł się buntować, ale w sensownych granicach.

- Bądź rozsądna. Wynajmijmy opiekunkę i zjedźmy do restauracji.

- Choćbyś zaprosił mnie nie wiem dokąd, a Henry'emu przyniósł nie wiem ile prezentów, nic ci to nie da. On zostaje ze mną.

- Interes kraju wymaga, żeby następca tronu powrócił - oznajmił twardo.

- Interes Henry'ego wymaga, żeby chłopiec został ze mną. On nie potrzebuje tronu, tylko kontaktu z drugim człowiekiem.

- Zapewnię mu wszystko, co najlepsze.

Żachnęła się.

- Nie możesz komuś zapłacić, żeby go kochał! Nie dysponuję takimi środkami jak ty, ale...

- Ale możesz - wszedł jej w słowo i zgodnie ze swoim planem podał jej czek.

Tammy odruchowo rzuciła okiem i zamarała.

De tam było tych zer? Chyba musiało jej się dwoić w oczach, a może i troić. Nie sądziła, że takie bogactwo w ogóle może istnieć.

- Jak sarna widzisz, potrafię o was zadbać. Stworzę Henry'emu najlepsze warunki do rozwoju, dam opiekę i wykształcenie, zapewnię mu pomoc najznakomitszych psychologów. A ty nie będziesz musiała już do końca życia pracować, będziesz mogła cały czas mieszkać w takich hotelach jak ten. Wszyscy będą zadowoleni.

Wciąż z niedowierzaniem wpatrywała się w czek. Przypomniała sobie treść listu. Tam też była mowa o pieniądzach. Henry nie był owocem miłości, lecz żądzy bogactwa, prestiżu i władzy. Straszne...

Podniosła wzrok i dopiero wtedy spostrzegła pełen satysfakcji uśmiech na twarzy Marka. On sądził, że ją kupił!

Wszystko się w niej zagotowało. Wyjęła mu czek z ręki, podarła go na tysiące kawałeczków, rzuciła je na dywan i gniewnie przydeptała bosą stopą.

Mark był tak pewny swego, że sens jej zachowania w ogóle do niego nie dotarł. Nadal

przyglądał się jej z pełnym wyższości uśmiechem. Furia Tammy sięgnęła zenitu. Miał jeszcze czelność się uśmiechać!

Wymierzyła mu siarczysty policzek.

Nigdy w życiu nie podniosła na nikogo ręki, a tego dnia w ciągu zaledwie trzech godzin rzuciła w tego człowieka mlekiem w proszku i uderzyła go w twarz.

- Wyjdź stąd - zażądała, niemal dławiąc się ze złości.

Otworzyła drzwi na oścież. - Nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Do diabła z tobą, twoją rodziną i waszymi przeklętymi pieniędzmi! Zabiliście ją, zabiliście moją siostrę. Wy dranie!

- Jej dłoń znów sama poleciała do góry, ale tym razem Mark zdołał złapać Tammy za nadgarstek i wykręcić jej rękę do tyłu.

Korytarzem przechodziła akurat jakaś para w średnim wieku. Nieznajomi przystanęli, zaniepokojeni.

- Niech pan puści tę panią! - zainteresował mężczyzna. Mark zaklął, wepchnął Tammy z powrotem do pokoju i zatrzasnął drzwi. Chwycił również jej drugą dłoń i obie unieruchomił za jej plecami.

- Co ty za brednie wygadujesz? Moja rodzina zabiła Larę?

- Tak! Czytałam list, który napisała do mnie przed czterema miesiącami - rzuciła mu prosto w twarz oskarżycielskim tonem. Mark trzymał ją jak w kleszczach, mocno przy ciskając do swego torsu, lecz była zbyt rozgorączkowana, by zwracać na to uwagę. - Moja siostra umierała ze strachu o siebie i synka, dlatego wysłała Henry'ego do mnie. Jej mąż brał narkotyki, miał dziwnych znajomych, prawie nietrzeźwiał...

- Nic nowego.

Zatkało ją na moment.

- Jak to? Wiedziałaś o tym?

- Każdy wiedział. Mojemu kuzynowi od urodzenia pozwalano na wszystko. Wyrósł na aroganckiego cymbała, który z nikim i niczym się nie liczył. Uzależnił się od alkoholu, zanim skończył osiemnaście lat. Lara nie miała złudzeń, za kogo wychodzi.

- Czemu więc to zrobiła? - jęknęła Tammy.

Mark ponuro popatrzył na skrawki papieru zaścielające dywan.

- Dziwisz się? Przecież dzięki temu została księżną.

- I drogo za to zapłaciła.

Zamilkli oboje.

Był tak blisko... Tammy czuła jego ciepły oddech na swoim czole.

- Puść mnie - zażądała.

Spojrzał na nią, a jego oczy błysnęły dziwnie.

- A nie spróbujesz mnie znowu uderzyć?

- Nie wiem - wyznała uczciwie.

- W takim razie nie puszczę.

- A może po prostu wyjdź i zostaw mnie w spokoju?

- zaproponowała. - To by natychmiast rozwiązało wszelkie problemy.

- Nie, to by nie rozwiązało niczego... - odparł z głębokim namysłem, wpatrując się w jej twarz.

Spuściła wzrok. Bezpieczniej będzie nie patrzeć na niego. Nie z tak bliska. Wbiła spojrzenie w kołnierzyk jego koszuli. Kołnierzyk był rozpięty, widać było opaloną skórę...

Mark puścił ją i cofnął się.

- Co twoja siostra napisała w tym liście?

Tammy zaczęła masować bolące nadgarstki. Naprawdę trzymał ją bardzo mocno.

- To prywatny list, nie będę ci powtarzać jego treści - odparła z irytacją.

- Jak mam odeprzeć twoje zarzuty, jeśli nie wiem dokładnie, na jakiej podstawie oskarżasz moją rodzinę o spowodowanie śmierci Lary? - naciskał.



Nie znalazła na to odpowiedzi. Na szczęście w tym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Proszę pani, czy wszystko w porządku? – Usłyszeli tubalny głos. - Zgłoszono nam, że ma pani kłopoty.

Tammy obrzuciła zaniepokojonego Marka triumfalnym spojrzeniem i szybko otworzyła drzwi. Za nimi stało dwóch postawnych strażników. Ich spojrzenia powędrowały w stronę Marka.

- Czy ten mężczyzna panią napastuje?

Już miała odpowiedzieć, że tak i pozwolić im wyprowadzić go na zewnątrz, gdy odezwał się za jej plecami:

- Naprawdę musimy porozmawiać! To bardzo ważne.

Odwróciła ku niemu głowę, i to był błąd. W jego oczach ujrzała zdumiewająco żarliwą prośbę. Zawahała się.

- Dlaczego? - spytała nieufnie.

- Ponieważ oboje jesteśmy rodziną Henry'ego i jedynymi osobami, którym zależy na jego dobru. Mnie naprawdę obchodzi jego los. I los mojego kraju. Cięży na mnie ogromna odpowiedzialność - przekonywał z zapalem. - Zostawimy kogoś przy Henrym, a sami...

- Nie! - zaprotestowała natychmiast.

- Mamy go wyrzucić? - Ochroniarze niemal zacierali ręce.

Tammy ponownie się zawahała. Nagle przypomniało jej się, jak na samym początku pomyślała sobie, że Mark ma twarz dobrego człowieka. Właściwie co jej szkodziło go wysłuchać? I tak nie mógł jej namówić do oddania Henry'ego, więc niczym nie ryzykowała. Nie pomoże ani siła, ani żaden podstęp.

- Nie, jeszcze nie... - zdecydowała z ociąganiem spojrzała na Marka. - Dobrze, porozmawiamy, ale na moich warunkach. Zamówimy kolację tu, do pokoju, żebym mogła czuwać nad Henrym. - Odwróciła się do strażników i znowu pomasowała obolałe nadgarstki. - Jego Wysokość miewa swoje napady, ale generalnie stara się zachowywać jak cywilizowany człowiek. Chyba damy mu jeszcze jedną szansę, jak panowie myślą? Skoro obiecuje być grzeczny, niech zostanie.

Książę gwałtownie wciągnął powietrze, ale Tammy nie dbała o to, czy go obraziła, czy nie. Należało mu się.

- Rozumiem, że w razie czego mogę liczyć na pomoc panów?

- Wystarczy krzyknąć, a zjawimy się natychmiast - zapewnili, mierząc Marka wzrokiem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Szargasz mi reputację - stwierdził zimno Mark, kiedy zostali sami. - Jestem głową państwa, a ty zrobiłaś ze mnie jakiegoś niewyżytego barbarzyńcę. Czy ty wiesz, co to może oznaczać dla stosunków między naszymi krajami?

Tammy parsknęła z pogardą.

- Nie widziałam żadnego paparazzi, więc to się nie rozniesie. Zresztą, kogo tu obchodzi jakiś operetkowy książę z małego kraiku, który można przykryć chustką do nosa? Masz nadmierne wyobrażenie o swojej ważności... Wasza Wysokość - dodała z ironią, po czym z niepokojem spojrzała w kierunku łóżeczka.

Henry spał nadal. Widać przywykł do klótni dorosłych... Podeszła i mocniej otuliła go kocykiem, którego róg ssał przez sen.

- Powiesz mi, co było w tym liście?

A on znowu swoje! Z gniewem obróciła się ku niemu, gotowa do kolejnego starcia, lecz Mark uniósł ręce w pokojowym geście.

- Może najpierw coś zjedzmy? - zaproponował. - Musisz być głodna. - Sięgnął po leżącą przy telefonie kartę. - Na co masz ochotę?

- Mamy zjeść kolację tutaj, pamiętaj.

- Oczywiście. Inaczej zawołasz tych osiłków, a oni wywloką mnie stąd za kołnierz, przez co pogwałcą prawo międzynarodowe. Nie mogę do tego dopuścić. Jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę. - Posłał jej rozbrajający uśmiech. Tammy cofnęła się o krok.

- Coś mi to za pięknie brzmi...

- Możesz mi zaufać - powiedział cicho.

Przez długą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Dobrze, zamówmy kolację - zdecydowała w końcu. - Tylko żadnych żabich udek!

- Ani steku z kangura - uzupełnił z udawaną powagą Mark.

- Zgoda.

- Widzisz, jak świetnie się dogadujemy? - ucieszył się.

Kolacja przez jakiś czas przebiegała w milczeniu Wróćmy do kwestii listu - zaproponował w końcu Mark, dolewając wina.

- Nie widzę potrzeby. Pewnie i tak mniej więcej potrafisz odgadnąć jego treść.

- Mylisz się. Niewiele wiem o małżeństwie Jeana-Paula, rzadko się z nim widywałem, nasze rodziny pozostawały od jakiegoś czasu w konflikcie.

- Skoro tak, to czemu władza nie przeszła na kogoś z tamtej rodziny, tylko na ciebie?

- Bo z tamtej linii został już tylko Henry. Starszy brat Jeana-Paula, Franz, uwielbiał szybką jazdę i pięć lat temu zginął w wypadku samochodowym. Po nim władzę w kraju przejął Jean-Paul. Ja byłem dopiero trzeci w kolejce do tronu, więc nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę rządzić Broitenburgiem. A tu taki pech!

Zmarszczyła brwi.

- Pech?

- Tak. Naprawdę wołałbym tego uniknąć za wszelką cenę. Nie mam jednak wyjścia, dopóki Henry nie dorośnie.

- Westchnął ciężko. - To co? Powiesz mi, co napisała Lara?

Tammy w zamyśleniu obróciła w palcach kieliszek ze znakomitym czerwonym winem, którym popijali pysznego homara. Właściwie miała już serdecznie dość sekretów.

Wystarczy, że matka i siostra ukrywały prawdę, przez co ucierpiał Henry. Może należało postawić na szczerość.

- Była zdesperowana - wyjawiała w końcu. - Pisała jak ktoś żyjący w strasznym napięciu. Przeprasiła mnie za brak kontaktu i trzymanie mnie w niewiedzy. Wyjaśniła, że to Isabelle zaaranżowała jej spotkanie z Jeanem-Paulem, a potem na wszelkie sposoby popychała obie strony do małżeństwa. Wierzę jej. Faktycznie mogło tak być.

Mark przytaknął.

- Całkiem możliwe. Widziałem twoją siostrę tylko raz, na jej ślubie i chociaż wyglądała po królewsku, zrobiła na mnie wrażenie osoby słabej i uległej, którą łatwo kierować.

Przepraszam, jeśli cię tym uraziłem.

- Nie uraziłeś, bo to, niestety, prawda. Lara starała się robić to, czego chciała matka, podczas gdy ja zawsze miałam własne zdanie. Isabelle najpierw w ogóle się nią nie interesowała, praktycznie nie zauważała jej, bo po co robić sobie kłopot? Kiedy jednak Lara miała jakieś jedenaście lat i stało się jasne, że wyrośnie na prawdziwą piękność, matka za garnęła ją dla siebie i urobiła po swojemu. Chciała zrobić z córki przynętę, bo sama też w ten sposób próbowała urządzić się w życiu. Uwodząc odpowiednich mężczyzn.

- Teraz już wiadomo, czemu Jean-Paul był odpowiedni. Drań, narkoman i alkoholik, ale książę...

Tym razem Tammy westchnęła ciężko.

- Isabelle nazywała Larę swoją księżniczką - powiedziała, a w jej głosie pojawiła się gorycz. - Przez długie lata sama próbowała zdobyć taki tytuł. Dlatego zaszła w ciążę z moim ojcem, licząc na to, że się z nią ożeni. Nie ożenił się, więc okazałam się kompletnie chybioną inwestycją, nie potrzebnie się wysilałam... W rezultacie znenawidziła mnie.

- Twoja matka cię nienawidzi?

Tammy nie miała ochoty zagłębiać się w ten temat.

- Isabelle wychodziła za męża cztery razy, za czwartym udało się jej złapać ojca Lary, właśnie na ciążę. Dzięki temu zdobyła arystokratyczne nazwisko. Małżeństwo przetrwało całe półtora roku, rekord długości, jeśli chodzi o moją matkę.

- I rozumiem, że twoja siostra się w nią wdała?

- To nie tak. Słuchała jej, bo tylko tak mogła zdobyć uczucie matki. Dla Isabelle istniałyśmy jedynie wtedy, gdy dokładnie spełnialiśmy jej oczekiwania.

Mark nie odrywał wzroku od jej twarzy. Zaczynał powoli rozumieć, przez co ta dziewczyna przeszła. Taktownie powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Po chwili milczenia Tammy znów zaczęła opowiadać:

- Lara tak przywykła jej ulegać, że dała się wmanewrować w małżeństwo z Jeanem-Paulem, chociaż bała się go od samego początku. Nie starczyło jej charakteru, by sprzeciwić się matce. Gdy Henry miał sześć miesięcy i przebywali w Paryżu, odwiedziła ich Isabelle. Któregoś razu poszły obie na zakupy, a gdy Lara wróciła do domu, zastała męża kompletnie zaćpanego w towarzystwie jakichś koleżków. Jeden z nich próbował podać narkotyki Henry'emu, a Jean-Paul uważał to za świetny dowcip! Dopiero wtedy Lara przejrzała na oczy. Dotarło do niej, że w końcu komuś może stać się krzywda. Zrozum, to nie była zła dziewczyna. Słaba, owszem, ale nie zła.

- Wysłała więc Henry'ego do Australii?

- Niedokładnie. Wysłała go do mnie. W przeszłości nieraz ratowałam jej skórę, zawsze mogła na mnie liczyć, niezależnie od wszystkich nieporozumień między nami. Ale Isabelle wolała pozbyć się wnuka, zostawiając go w hotelu.

Markowi nie mieściło się to wszystko w głowie.

- Dlaczego nie zawiozła go do ciebie?

- Po pierwsze, musiałaby zadać sobie trud znalezienia mnie. Skąd mogła wiedzieć, gdzie jestem, skoro nigdy jej to nie interesowało? Po drugie, wydałoby się, że ukryto przede mną ślub Lary, a ja pewnie powiedziałabym matce, co o tym myślę. Po co miała tego wysłuchiwać? Prościej było skłamać Larze, że nie mogła mnie znaleźć, albo że odmówiłam, albo że wszystko w porządku, bo Henry jest u mnie.

- Wszystko jedno, co jej naopowiadała! Czemu Lara ani razu nie sprawdziła, co się dzieje z dzieckiem? Jaka z niej matka?

- Sądząc po jej niezdarnym piśmie... - zaczęła Tammy zdławionym głosem. - ...ona chyba też ostro piła.

- Akurat to jestem w stanie zrozumieć. Gdybym musiał bez przerwy znosić Jeana-Paula, też bym zaczął pić, żeby nie zwariować. To był straszny człowiek, uwierz mi.

- Moja matka musiała o tym wiedzieć...

Zapadła cisza.

- Hej, homar ci wystygnie - odezwał się nagle Mark i uśmiechnął się.

Ten uśmiech zadziałał jak promień słońca przedzierający się przez czarne chmury.

Wszystko wydało się nagle mniej ponure, pojawiła się nadzieja na lepsze chwile w jej życiu.

O ile w jej życiu nadal będzie Mark.

A cóż to za głupia myśl? Przecież to właśnie przez jego rodzinę dotknęło ją cierpienie! Przez nich straciła jedyną osobę, którą kochała!

Nagle jej wzrok powędrował w stronę łóżeczka Hen-ry'ego. Nie, już nie jedyną.

- A jednak wynikło z tego również dobro – odezwał się cicho Mark.  
Spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby książkę czytał w jej myślach?

- Teraz ty mi wyjaśnij, czemu tak ci zależy na jego powrocie - zażądała.  
Dolał sobie wina.

- Stan państwa jest katastrofalny - wyznał szczerze. - Jean-Paul nieustannie bawił za granicą, jego starszy brat robił wcześniej to samo. Potrafili tylko brać pieniądze. Korupcja jest powszechna. Każdy, kto zdobędzie jakąś pozycję, stara się wyrwać dla siebie jak najwięcej. Weź na przykład Charlesa. Po co tak małemu krajowi jak mój ambasada w Australii? Po nic! Tymczasem Charles otrzymuje kolosalną gażę, mieszka w willi, która pomieściłaby tuzin rodzin, i popisuje się chyba najdłuższą limuzyną na kontynencie. Tacy ludzie są jak wampiry wysysające z Broitenburga życiodajną krew. Muszę z tym skończyć!

- Czemu tak ci zależy? - zainteresowała się. – Przecież podobno nie chcesz rządzić?  
Uśmiechnął się jakby z rozmarzeniem.

- Bo kocham ten kraj. Jest niewielki, ale naprawdę niezwykły. Pamiętam Broitenburg mojego dzieciństwa. Panował wtedy mój dziadek, ludziom dobrze się żyło. Moi kuzyni doprowadzili państwo do ruiny. Serce mnie boli, jak na to patrzę.

- To czemu nie robisz z tym porządku, zamiast przylatywać tutaj, wypisywać mi czeki na horrendalne sumy i domagać się Henry'ego?

- Ponieważ to Henry jest prawowitym władcą, nie ja. Zgodnie z konstytucją jestem tylko tymczasowym regentem. Gdy Henry skończy dwadzieścia jeden lat, zasiądzie na tronie.  
Tammy wzruszyła ramionami.

- Masa czasu. Dwadzieścia jeden lat panowania ci nie wystarczy?

Mark z westchnieniem odstawił kieliszek.

- Wystarczy. Szkopuł w tym, że książkę regent sprawuje władzę w imieniu przyszłego władcy, o ile następca tronu przebywa w kraju. Takie jest prawo. Jeśli Henry wróci, mogę rządzić i zaprowadzać porządki. Jeśli zostanie w Australii, tracę wszelką władzę.

- I wtedy w Broitenburgu zapanuje demokracja? - dopowiedziała Tammy.  
Mark pokręcił głową.

- Wówczas nie byłoby problemu, ale to nie takie proste... Dużo osób urosło w siłę podczas ciągłej nieobecności Franza i Jeana-Paula. Zgromadzili majątki i chcą więcej, chcą władzy. Rozszarpia ten kraj między siebie. Proces rozpadu już trwa. Zagraniczne firmy wycofują się z naszego rynku. Wyjeżdżają nasi naukowcy i specjaliści, emigruje młodzież, zwłaszcza ta najzdolniejsza. Nie widzą dla siebie przyszłości w Broitenburgu.

Tammy spojrzała na śpiące maleństwo.

- Naprawdę przedłożyłbyś dobro kraju nad dobro Henry'ego?

- Nie mam wyjścia. Obiecuję zapewnić mu doskonałą opiekę.

- Opieka to za mało - zachnęła się Tammy. - On potrzebuje miłości! - Zmierzyła Marka podejrzliwym spojrzeniem. Walczył o Henry'ego tak żącznie, ponieważ bez niego będzie nikim.

- Wcale nie chciałem rządzić, już ci o tym mówiłem.

- Co?

- Uważasz, że potrzebuję twojego siostrzeńca do własnych celów - uściślił, jakby znów czytał w jej myślach. - Nie. Wolalbym pozostać wolnym człowiekiem. Zrozum, chodzi o coś innego. - Pochylił się ku niej i zaczął mówić z przekonaniem: - Jako regent mogę uratować mój kraj. Przeprowadzę reformy, zmienię konstytucję, by Broitenburg stał się monarchią konstytucyjną, na wzór Wielkiej Brytanii.

Tammy, musisz dać mi tę szansę. Przywrócę mojej ojczyźnie dawną świetność.

W jego głosie brzmiała autentyczna pasja, a Tammy lubiła ludzi z pasją.

Mark wierzył w to, co mówił. Był zdeterminowany, prawy, uczciwy. Zależało mu na dobru innych. I miał charakter.

Odnosiła wrażenie, że spotkała bratnią duszę... Bardzo pięknie, ale czy to wystarczający powód, by oddać mu Henry'ego?

- Wiesz, może jak będzie starszy... - zaczęła.

- Niestety, według prawa następcą tronu musi zjawić się w kraju w ciągu czterdziestu dni od śmierci panującego. Termin minie w piątek.

Tego się nie spodziewała.

- Ale to już za cztery dni!

- Tak.

Z oszołomieniem potrząsnęła głową

- Czemu nie przyjechałeś po niego wcześniej?

- Już ci mówiłem. Podczas pogrzebu twoja matka zapewniła mnie, że Henry przebywa pod dobrą opieką w Sydney. Wiesz, jak ona potrafi człowiekowi coś wmówić.

- Wiem...

- Rozpaczała nad jego osieroceniem, wydawało się, że pragnie natychmiast do niego wrócić. Żal mi jej było, dałem jej więc czas, żeby mogła pobyc z wnukiem w Sydney i ochłonąć po śmierci córki. Miała przywieźć Henry'ego dopiero wtedy, gdy będzie to konieczne. Tymczasem on omal nie trafił do domu dziecka! - wybuchnął z gniewem. - Nie pojmuję, jak mogła do tego dopuścić! O czym ta kobieta w ogóle myśli?!

Odpowiedź na to pytanie Tammy znała od dawna.

- O sobie. Tylko i wyłącznie.

Mark aż zgrzytnął zębami, a potem machnął ręką.

- Dobra, zostawmy ją. Teraz chodzi o Henry'ego. Przykro mi, ale muszę go zabrać.

- Przykro mi, ale go nie oddam.

- Wyjaśniłem ci przecież, jaka jest sytuacja!

- Tak. Broitenburg potrzebuje Henry'ego. Henry jednak nie potrzebuje Broitenburga - skwitowała rzeczowo. - Ty jesteś gotów poświęcić jedno małe dziecko dla dobra państwa, ale ja nie. Nie muszę być psychologiem, żeby stwierdzić poważne zahamowania w jego rozwoju. Nie mogę mu zaoferować korony ani przekazać władzy, ale dostanie ode mnie miłość, a właśnie to jest mu niezbędne do życia. - Wstała na znak, że rozmowa zakończona. - Rozumiem twoje racje i naprawdę chciałabym ci pomóc. Niestety, żądasz niemożliwego.

Podniósł się również.

Nigdy w życiu nie spotkał podobnej kobiety. Stała przed nim drobna, bosa, w spranych do granic możliwości dzinsach i bawełnianej koszulce, bez śladu makijażu, a przecież imponująca w swoim zdecydowaniu, nieugiętości i sile.

Jego wzrok powędrował ku jej wspaniałym włosom. Miał ochotę ich dotknąć.

- Na tym chyba zakończymy, księżę. Po prostu czasem nie ma dobrego wyjścia.

- Jest jedno.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie.

- Tak. Jedźmy do Broitenburga we troje.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby postradał rozum.

- A dlaczego miałabym jechać do Broitenburga?

Mark uśmiechnął się tak, że jedna odpowiedź nasunęła się sama. Dla samego tego uśmiechu byłoby warto...

- A dlaczego nie? To przepiękny kraj, choć niewielki. Tam jest wszystko! Góry, jeziora, zamki. Turyści są zachwyceni, każdy chciałby u nas zostać na stałe. Tobie też będzie

dobrze.

- Nie sędzę.
- Skąd wiesz, skoro nawet nie spróbowałaś?
- Pracuję w Australii, a ponieważ kocham mój zawód, nie mogłabym go porzucić.
- Akurat ty możesz pracować wszędzie. - Mark przyglądał się jej badawczo. - Poprosiłem

detektywa, który cię znalazł, o dostarczenie mi bardziej szczegółowych informacji na twój temat. Dzwonił niedawno. Owszem, zakończyłaś obowiązkową edukację w wieku lat piętnastu, ale potem zrobiłaś wszystkie możliwe uniwersyteckie kursy korespondencyjne związane z dendrologią, jednocześnie zdobywając wiedzę praktyczną. Pracowałaś w Europie, i to w najbardziej znanych ogrodach Anglii i Francji. Byłaś asystentką największych sław w swojej dziedzinie, a w końcu sama stałaś się niekwestionowanym ekspertem. Mogłaś pracować wszędzie, za każde pieniądze, a tymczasem zaszłaś się w buszu. Dlaczego?

- Bo mam tam ciszę i spokój. Nie jestem zbyt towarzyska.
- Tammy, mogę ci zapewnić zarówno spokój, jak i pracę. Jednego i drugiego będziesz miała pod dostatkiem. Mój zamek jest położony pośród lasów tak pięknych, że piękniejszych nie znajdziesz chyba nigdzie.

To wszystko brzmiało zbyt nieprawdopodobnie. Uparcie potrząsała głową.

- Zostaję tutaj, a razem ze mną Henry.
- Nie zabierzesz go ze sobą z powrotem do buszu - zauważył trzeźwo Mark. - Jest na to za małe.

Zagryzła wargi.

- Na razie nie wrócę do pracy. Zrobię sobie przerwę.
- Świetnie. A co zrobisz, gdy skończą ci się pieniądze?
- Znajdę pracę w mieście, w ogrodzie botanicznym.
- A co z Henrym?
- Oddam go do żłobka.
- I to ma być odpowiednia opieka? Nie zgadzam się!

Nie widzisz, że najlepsze warunki miałby, mieszkając razem z tobą w Broitenburgu? Nie widzisz, że tak byłoby najlepiej dla nas wszystkich? - Nim zdążyła się zorientować, ujął jej dłoń i uściśnął je mocno, jakby pragnął przelać w nią choć część swojego zapału. - Oddam wszystkie okoliczne lasy pod twoją opiekę, zapłacę ci kilka razy tyle, ile zarabiasz teraz. Wybierzesz sobie kogoś do pomocy nad Henrym, zamieszkas w zamku, wszystko na mój koszt.

- Ja miałabym mieszkać w zamku? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Oczywiście!
- To przecież absurd. - Popatrzyła na swoje dłonie, których Mark wciąż nie wypuszczał ze swoich rąk. Od ciężkiej fizycznej pracy stały się szorstkie i zniszczone, widniały na nich dawne i świeże zadrapania.

Jego wzrok również powędrował w tym kierunku. Rozluźnił uścisk i zaczął delikatnie wodzić palcem po niebieskich żyłach - od palców po nadgarstek. I znowu. I znowu.

Ten dotyk był tak subtelny, że aż hipnotyzujący. Tammy miała wrażenie, jakby ktoś rzucał na nią czar. Podobnie musiał czuć się Kopciuszek, gdy dobra matka chrzestna skinęła nad nim różdżką...

- Uda się, zobaczysz - powiedział Mark żarliwie. - Będzie ci tam dobrze.
- Ciekawe, jak długo.
- Zostaniesz, ile zechcesz. Nawet na zawsze.
- A jeśli mi się nie spodoba, to co? Gdy Henry znajdzie się w Broitenburgu, już go stamtąd nie wypuścisz. - Tammy nawet nie kryła goryczy i nieufności.

Mark zastanawiał się, wciąż gładząc wierzch jej dłoni. Następnie obrócił je wnętrzem do góry i przeciągnął palcem po linii życia, jakby potrafił czytać z rąk.

Czy potrafił także odczytać, co zaczynała odczuwać pod wpływem jego dotyku?

- Zawrzyjmy umowę - zaproponował w końcu. - Kupię wam obojgu bilety powrotne i dam ci je. Jeśli nie zdołam cię uszczęśliwić, zabierzesz Henry'ego i przyłecisz tu z nim z powrotem.

Jeśli nie zdoła jej uszczęśliwić? A cóż to za dziwna obietnica?

- W Broitenburgu będziesz miał za sobą prawo twojego państwa. Mogę mieć i bilety, i twoje ustne zapewnienia, a i tak nie zdołam wyrwać stamtąd Henry'ego, jeśli tak zdecydujesz. - Zdawała sobie sprawę, że nie było to taktowne, ale walczyła o przyszłość siostrzeńca, nie mogła sobie pozwolić na żadną nieostrożność.

Westchnął.

- Nie ufasz mojemu słowu?

- Nie - odparła twardo.

Niespodziewanie na twarzy Marka zagościł uśmiech i świat znowu pojaśniał.

- Gdybym był na twoim miejscu, pewnie też bym nie ufał. Dobrze, dostaniesz gwarancje na piśmie. Wydam polecenie, by moi prawnicy w Broitenburgu przygotowali i przysłali faksem dokument prawny, dający ci prawo powrotu do Australii razem z Henrym, gdy tylko zechcesz, a ja go podpiszę w obecności świadka. - Sięgnął do portfela. - To wizytówka pani adwokat Angeli Jefferson, Australijki, specjalistki od prawa międzynarodowego. Zna sprawę, ponieważ to właśnie ona uświadomiła mi konieczność uzyskania twojej zgody. Pani Jefferson zaopiniuje, czy dokument jest sporządzony tak, by Broitenburg musiał go honorować. Czy wtedy zgodzisz się dać nam wszystkim szansę?

Dać im wszystkim szansę... Te słowa zdawały się odbijać echem przez dłuższą chwilę.

Tammy patrzyła Markowi w oczy, starając się z nich wyczytać, czy ma do czynienia z człowiekiem szczerym, czy też z kimś, kto sprytnie maskuje podstęp i fałsz. Odpowiedział jej jasnym i spokojnym spojrzeniem.

- Broitenburg cię potrzebuje. - Ponownie zaczął gładzić jej dłoń. - Jeśli odmówisz, w moim kraju zapanuje chaos. Zrozum, nie tylko Henry cię potrzebuje, ja też.

Wielkie nieba... Tammy nie wiedziała, co myśleć. W oczach Marka widziała jednak pełne zrozumienie. Czekał cierpliwie, tym razem gotów dać jej tyle czasu, ile potrzebowała.

Jej życie już i tak uległo radykalnej odmianie. Miała dziecko. Czy powinna do tego rzucić wszystko i jechać na drugi koniec świata? Nie lepiej zostać? A jeśli kogoś skrzywdzi swoją decyzją? Henry'ego? Nieznanych jej ludzi, mieszkańców małego księstwa, którym przecież też życzyła jak najlepiej? Marka?

Coraz bardziej kręciło się jej w głowie od pytań, na które nie знаła odpowiedzi. W końcu spojrzenie Marka, pełne zrozumienia i troski, zaczęło wydawać się jej jedyną pewną rzeczą, której można się uchwycić, jak liny ratunkowej.

- Dobrze. Pojadę.

Odetchnął z ulgą.

- Nie pożałujesz.

- To się dopiero okaże.

- Nie pożałujesz - powtórzył z przekonaniem. - Zadbam o to. - Zawahał się i puścił jej rękę. - Muszę teraz wszystko zorganizować. Idę.

Ruszył w stronę drzwi, ale szedł coraz wolniej, a w końcu odwrócił się. Dziwne, wyglądało na to, że gdy dopiął swego i mógł już działać, wcale nie miał ochoty nigdzie iść. Tammy odczuwała coś podobnego. Najchętniej dalej stałaby z dłońmi w jego rękach.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc.

- Wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście.

Zapadła cisza. Mark nadal nie wychodził z pokoju, tylko wpatrywał się w Tammy tak

dziwnym wzrokiem, że aż zaczęła się rumienić. Spuściła oczy. Bezpieczniej było patrzeć na swoje bosa stopy i wystrzępione nogawki dżinsów. Milczenie zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

A nawet jeszcze dłużej.

I nagle Mark zaklął, nieoczekiwanie znalazł się z powrotem przy niej, chwycił ją mocno za ramiona i pocałował.

Pewnie po to, by przypieczętować układ, tłumaczyła sobie w duchu Tammy. Tak, na pewno po to.

Dlaczego w takim razie ten pocałunek wywarł na niej tak wstrząsające wrażenie i dlaczego trwał tak długo? Mark nie domagał się odpowiedzi, niczego nie oczekiwał, ale jednocześnie nie zamierzał zrażać się brakiem reakcji. Mocniej zacisnął dłonie na ramionach Tammy, przyciągnął ją blisko, bardzo blisko do siebie i pocałował jeszcze raz, o wiele namiętniej...

Zeszytniała, choć jej ciało ze wszystkich sił pragnęło poddać się pieszczocie. To jednak tylko pogorszyłoby sprawę! Jej sytuacja życiowa i bez tego skomplikowała się wystarczająco. Romans z tym mężczyzną był naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała.

A przecież zmysły miały na ten temat zupełnie inne zdanie. One właśnie tego potrzebowały, pragnęły, domagały się.

Jak łatwo byłoby rozchylić usta, otoczyć rękami muskularne barki, poszukać pociechy i zapomnienia, zatopić się w jego bliskości, w jego ciele, którego dotyk zdradzał wyraźnie, że Mark odczuwa to samo, co ona...

Wciąż jeszcze zwyciężała w niej siła woli, ale pokusa atakowała coraz mocniej, nadwątlając wszelkie postanowienia. Na szczęście Mark podniósł głowę. Na widok jej błędnego spojrzenia zaklął ponownie.

- Nie powinienem był tego robić. Dopiero co dowiedziałas się o śmierci siostry, o istnieniu Henry'ego i podjęłaś decyzję o wyjeździe z kraju. Za dużo jak na jeden dzień. Ale wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zaopiekuję się tobą.

Powiedział to tak czule, że Tammy niemal zupełnie się rozkleiła. Temu było jeszcze trudniej się oprzeć niż namiętności. Oczy jej się zaszklily. Po policzku spłynęła łza, którą Mark otarł z niewypowiedzianą delikatnością.

- Wybacz. Potrzebujesz czasu, by dojść do siebie, a ja ci na to nie pozwalam. Za bardzo się spieszę.

Mówił o pocałunku czy o wyjeździe? Na pewno o tym drugim. Pocałunek nie miał tu nic do rzeczy.

Czy aby na pewno?

Znowu nie wiedziała, co myśleć. Dotyk palców Marka na jej twarzy kompletnie wytrącił ją z równowagi. Nie przywykła do czułości.

Lepiej, żeby sobie wreszcie poszedł i zostawił ją samą. W przeciwnym razie ulegnie pokusie, wtuli się w jego ramiona i... skończy jak Lara. Ta myśl natychmiast ją otrzeźwiła.

- Nie przepraszaj, to nie twoja wina - odparła szorstko i odsunęła się. - Idź już, muszę się położyć. I nie całuj mnie więcej.

Niespodziewanie uśmiechnął się.

- A to dlaczego?

- Bo nie chcę.

- Na pewno? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Co za bezczelny typ! A zaledwie przed chwilą był taki czuły i delikatny. Wystarczyło, że przez moment mu się nie przeciwstawiła, a już traktował ją z góry. Ale to się zaraz skończy...

- Tak! - rzuciła twardo, uniosła dumnie głowę, zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Wyjdiesz wreszcie, czy mam zawołać strażników?



- Już mnie nie ma - odparł, nie przestając się uśmiechać. Gdy przechodził obok niej, przystanął i znowu delikatnie dotknął jej policzka. - Przykro mi, że musiałem cię zasmucić złymi wieściami - szepnął i zajrzał jej głęboko w oczy. Serce w niej zamarło. - Śpij dobrze. Jutro zaczynamy nowe życie.

Położył palec na jej ustach, ale nie pocałował jej, tak jak sobie życzyła.

Chwilę później została sama, a w jej uszach wciąż brzmiały jego ostatnie słowa. Dlaczego powiedział „zaczynamy”? Dziwne. To przecież ona zaczynała nowe życie. Mark, ksiązę Broitenburga, nieodwracalnie wpłynął na całą jej przyszłość. W ciągu zaledwie paru godzin. Co będzie dalej?

Następne dwa dni były szalone. Szczęśliwie Tammy miała ważny paszport, a na polecenie księcia wizę dostała od ręki.

- Przynajmniej raz Charles na coś się przydał - skwitował zgryźliwie Mark. - Dotąd brał państwowe pieniądze zupełnie za nic.

Zadzwoiła do swojego szefa, by powiadomić go o wyjeździe. Doug był niepoczyszony.

- Gdybyś zmieniła zdanie i chciała wrócić, powitam cię z otwartymi ramionami - zapewnił. - Mogę nawet niańczyć małego, bylebyś tylko z nami pracowała!

Zrobiło się jej ciepło na sercu. Była w zespole Douga przez trzy lata i mimo swojego upodobania do samotności niepostrzeżenie zżyła się z pozostałymi członkami grupy, którzy stali się jej jedyną prawdziwą rodziną. Poza nimi nikt nie będzie za nią tęsknił, nikt nawet nie zauważy jej nieobecności.

- I jak ja mam im przekazać tę wiadomość, co? - lamentował Doug, tym samym lejąc miód na jej serce. Niewiarygodne, komuś naprawdę na niej zależało...

Rozmowa z matką przebiegła w zupełnie innej atmosferze.

- A po co miałam ci mówić o śmierci mojej kochanej Lary? - zdziwiła się obłudnie Isobelle. - Ona cię nigdy nie obchodziła.

Chyba ci się coś pomyliło, pomyślała Tammy, ale ugryzła się w język.

- Zabieram Henry'ego do Broitenburga – oznajmiła chłodno.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Do tego księcia, który teraz tam rządzi? Jak mu na imię?

- Mark.

- Proszę, proszę - zadrwiła Isobelle. - Ale to za wysokie progi jak na twoje nogi.

- Słucham?

- Nie złapiesz go, nie masz szans. Musiałabyś być dużo ładniejsza.

Jak zwykle matka myślała tylko o jednym. Dla niej mężczyźni stanowili wyłącznie środek do osiągnięcia celu.

- Ja nie...

- Sporo o nim słyszałam. Ten twój ksiązę Mark ma kobiet na pęczki. - Isobelle zaśmiała się nieprzyjemnie. - Jest bogaty jak Krezus. Naprawdę myślisz, że ktoś taki w ogóle cię zauważy?

Tammy miała serdecznie dosyć tej rozmowy. Spełniła swój obowiązek, informując Isobelle o miejscu pobytu wnuka. Nie musiała znosić jej uwag dłużej, niż było to konieczne. Wprawdzie miała ochotę powiedzieć jeszcze to i owo, ale właściwie...

Odłożyła słuchawkę.

Następnie Mark poruszył kwestię ubrań.

- Gdzie mieszkasz? Chciałbym wysłać kogoś, żeby spakował twoje rzeczy. Oczywiście, nie wszystko naraz, resztę prześle się później.

Tammy zrobiła wielkie oczy. Jaka resztę? Miała jeszcze jedno dzinsy, kilka bluzek, parę swetrów i kurtkę z kapturem - to wszystko.

- Wynajmuję niewielki pokój na peryferiach, po południu wezmę taksówkę i pojedę tam, żeby zabrać to, co mi potrzebne. Całość z pewnością zmieści się do plecaka. Na miejscu

kupię sobie nowe dzinsy. Macie chyba dzinsy w Broitenburgu, co?

- Tak, ale... - Mark zmarszczył brwi, lecz Tammy nie zauważyła tego, zajęta huśtaniem Henry'ego na kolanach. Od rana uśmiechnął się aż dwa razy, teraz pracowała nad trzecim uśmiechem chłopca. - Zrozum, nie możesz wystąpić w dzinsach podczas uroczystej kolacji. Mamy taki zwyczaj, że codziennie...

- Może ty masz taki zwyczaj, ja nie. W życiu nie byłam na uroczystej kolacji.

Spochmurniał jeszcze bardziej.

- Ale teraz jesteś członkiem rodziny panującego.

- Jestem sobą, jeśli łaska.

- Henry ma zostać wychowany na następcę tronu. Nie mogę pozwolić...

Ponownie podrzuciła siostrzeńca na kolanie, po czym uściskała go mocno.

- Moim zdaniem Henry ma w nosie uroczyste kolacje przy świecach - zaśmiała się.

Wyraz twarzy Marka nie zmienił się ani na jotę.

- Postawmy pewne sprawy jasno - zażądał. - Czy tego chcesz, czy nie, będziesz przebywać na zamku jako członek rodziny i dlatego musisz się dostosować do obowiązujących tam norm.

- Dobrze, pójdę na pewne ustępstwa. - Popatrzyła na swoje znoszone buty. - Kupię sobie nowe tenisówki.

- I to ma być ustępstwo?

- A co? Mam sobie sprawić tiarę i szpilki, zanim mnie w ogóle wpuszczą do Broitenburga?

- Tiarę niekoniecznie, ale coś bardziej eleganckiego niż to, co teraz masz na sobie...

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie ma mowy. Mieliście swoją olśniewającą księżniczkę, ale Lara nie żyje. Teraz jestem ja.

Mimo wysiłków, książę nic więcej nie wskórał i kiedy w końcu limuzyna Charlesa zawiozła ich na lotnisko, mieli ze sobą stos waliz z jego ubraniami, jedną z rzeczami Henry'ego i wytarty "plecak, w którym zmieściło się wszystko, co posiadała Tammy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tammy po raz pierwszy miała lecieć pierwszą klasą. Miejsca było pod dostatkiem - tak dużo, że aż czuła się nieswojo. Ustawiono nawet składane łóżeczko i rozłożono miękkie pled na podłodze, by Henry miał się gdzie bawić. Stewardesy przybiegały na każde skinienie.

Tammy uznała, że to dobra okazja, by zadać Jego Wysokości parę niedyskretnych pytań. Nawet jeśli się obrazi, nie będzie mógł nic zrobić. Przecież nie wyrzuci jej z samolotu.

- Masz żonę?

- Już ci mówiłem, że nie.

- Ale czy jesteś sam?

Najpierw uniósł brwi, a potem w jego oczach zamigotało rozbawienie.

- Pytasz o to, czy mam przyjaciółkę, czy mam przyjaciela, czy może psa?

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Wszystko naraz.

Milczał przez chwilę, wreszcie postanowił odpowiedzieć.

- Mam przyjaciółkę.

Aha, więc jest przyjaciółka. To czemu całował się z inną? Może Isobelle miała rację? Może to faktycznie niepoprawny kobieciarz?

A nawet jeśli, to co z tego? Przecież wcale jej to nie obchodzi. Nic a nic.

- A ty? - zainteresował się nagle. - Z moich informacji wynika, że nie masz nikogo.

- To nieuczciwie! - zaproponowała. - Ja muszę ci wierzyć na słowo, podczas gdy ty nasłałeś na mnie detektywa.

- W Europie kupisz sobie białe kolorowe pisemko, a dowiesz się o mnie wszystkiego, z detalami - skwitował. Naraz ściągnął brwi. - Dziwne... Jakim cudem nie wiedziałaś nic o ślubie Lary, skoro przebywałaś w Europie? Śluby w najwyższych sferach nie zdarzają się często. We wszystkich gazetach były zdjęcia z ceremonii, nawet w poważnych dziennikach.

Tammy przez chwilę liczyła w myślach.

- Nie, wtedy już siedziałam w Australii. Na którymś z moich ukochanych eukaliptusów.

- Najlepsze miejsce na ziemi, co?

- Aha.

- Ale dlaczego?

- Bo ludzie zadają ból, zdradzają, odwracają się plecami. Nie ma sensu się angażować, to zawsze kończy się cierpieniem. Weź mnie i Larę...

- Jednak znów jesteś gotowa zaryzykować, tym razem z Henrym.

- Nie mam wyjścia. Ty nie umiałbyś się nim zająć, nawet z pomocą przyjaciółki.

- Ingrid akurat nie przepada za dziećmi. Zresztą, to taka dość przelotna znajomość, nic poważnego. A Henrym potrafię zająć się sam.

Tammy popatrzyła na siostrzeńca, który zawzięcie ssał ucho swojej nowej zabawki. Jeśli tak dalej pójdzie, to miś straci uszy jeszcze przed Singapurem, pomyślała Tammy i przeniosła spojrzenie na Marka.

- Naprawdę umiałbyś zaopiekować się dzieckiem?

- Oczywiście - odparł z absolutną pewnością siebie.

- No to świetnie! - Nim zdążył się zorientować, co się święci, posadziła mu Henry'ego na kolanach.

Jego Wysokość w ułamku sekundy wpadł w popłoch.

- Hej, co ty robisz? - zaprotestował gwałtownie.

Tammy zamknęła oczy.

- Skoro umiesz się nim zająć, to ja mogę się przespać. Bawcie się dobrze.

Obudziła się kilka godzin później. Światła były przy gaszone, w kabinie panował półmrok. Któraś ze stewardes przykryła całą trójkę kocami. Tammy zerknęła w bok.

Mark spał, tuląc do siebie uśpionego Henry'ego. Malutka rączka chłopczyka zaciskała się mocno na palcu mężczyzny. Najwyraźniej było im dobrze razem. Dopiero teraz Tammy zaczęła dostrzegać między nimi pewne podobieństwo i nagle poczuła, że coś zaczyna dławić ją w gardle.

Dziwne. Przez tyle lat nie płakała, a odkąd spotkała Marka, co chwilę ulegała wzruszeniu. Jak to możliwe? Przecież nic o nim nie wiedziała - tyle tylko, że został księciem regentem w jakimś małym, lecz uroczym europejskim księstwie, a jego przyjaciółka Ingrid nie przepada za dziećmi. On sam chyba też nie, ale... Ale jego maleńki krewny chyba niespodziewanie odnalazł drogę do serca Jego Wysokości.

Tammy oniemiała z wrażenia, gdy wioząca ich limuzyna zatrzymała się przed ogromnymi marmurowymi schodami. Poniżej schodów znajdowało się krystalicznie czyste jezioro, a powyżej... Powyżej wznosił się nieprawdopodobnie piękny zamek z białego kamienia, ozdobiony niezliczoną ilością wież, wieżyczek i balkonów. Otaczały go majestatyczne góry. Na ich skalistych graniach lśnił śnieg, a poniżej ciągnęły się przepiękne lasy.

I to miał być jej nowy dom?

- Co o tym myślisz? - zagadnął Mark.

Odwróciła się i spostrzegła, że obserwował jej zachwyty z wyraźną przyjemnością.

- Co myślę? Strasznie to wszystko przesadzone.

- Naprawdę? - zdziwił się uprzejmie, nie przestając się uśmiechać.  
- Tak. Ostentacyjne, niegustowne... - Nie mogła dłużej udawać. - Och, Mark, nie spodziewałam się! W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego!  
- Ja też - powiedział, poważniejąc nagle. Nie patrzył przy tym na otoczenie, tylko na nią, więc Tammy nie była do końca pewna, co właściwie miał na myśli. On również nie był pewien. - Dzień dobry, Dominiku - skinieniem głowy powitał starszego mężczyznę w liberii, który z ukłonem otworzył im drzwi limuzyny.

Weszli do zamku. W olbrzymim holu czekała na nich służba, około dwudziestu osób. Mark przedstawiał ich kolejno, a oni kolejno składali Tammy ceremonialne ukłony.

Nagle Tammy zawstydzila się swoich znoszonych rzeczy. Czy wypada przybywać w gości w takim ubraniu? Może Mark rzeczywiście miał rację i trzeba było kupić jakąś sukienkę? Albo nawet i dwie...

- A to Madge Burchett, Angielka, nasza ochmistrzyni. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zwróć się do niej.

Starsza kobieta dygnęła przepisowo, jednak nie patrzyła na księcia, tylko na Henry'ego, którego Mark niósł na rękę.

- Ależ urosłem! - zachwyciła się. - A taki byłem malutki, jak się urodziłem! - Przeniosła spojrzenie na Tammy i uśmiechnęła serdecznie. - Ach, a to jest ciocia...

Tammy odgadła, że ochmistrzyni musiała w tym momencie porównywać ją z Lara. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, jak to porównanie wypadło, ponieważ Mark podał jej Henry'ego i zwrócił się do ochmistrzyni:

- Madge, czy zechciałabyś zająć się panną Dexter?
- Z największą przyjemnością. Pokażę pani pokój. Proszę tędy.

Tammy rzuciła trochę niepewne spojrzenie na Marka, lecz on już się odwrócił i odszedł zdecydowanym krokiem. Wszystko wskazywało na to, że księżę uznał ten rozdział za zamknięty. Sprowadził do kraju następcę tronu, powierzył dziecko opiece kobiet, a sam mógł zająć się sprawami wagi państwowej.

Naraz rozległ się radosny okrzyk. W holu zjawiała się smukła kobieta mniej więcej w wieku Tammy. Musiała przed chwilą jeździć konno - jeszcze trzymała w dłoni szpicrutę. Miała ma sobie strój amazonki, niezwykle wyszukany i efektowny. Jej kasztanowe włosy były misternie upięte w szykowny kok, makijaż był perfekcyjny, a uśmiech olśniewał.

Rzuciła szpicrutę i pobięła prosto w ramiona Marka.

- Och, kochanie! Jak cudownie, że wreszcie jesteś w domu!

Tammy zagryzła wargi, odwróciła się do nich plecami i spostrzegła pełen dezaprobaty wyraz twarzy ochmistrzyni, która również obserwowała to żenująco wylewne powitanie.

- Pannę Ingrid może pani poznać później, nie ma pośpiechu - oznajmiła pani Burchett. - Teraz musi pani odpocząć. Taka długa podróż, tyle wrażeń, tyle nowych twarzy... Wy starczy jak na jeden raz. Mały też potrzebuje spokoju.

Ochmistrzyni zaprowadziła Tammy do pokoju dziecinnego. Henry potulnie przyjął zmianę miejsca, tak zresztą jak potulnie przyjmował wszystko. Z jednej strony było wygodnie mieć takie grzeczne dziecko, które nie grymasiło, nie płakało - bo wiedziało z doświadczenia, że to nic nie da. Z drugiej strony ta nienaturalna grzeczność niezmiernie niepokoiła Tammy. Zdrowy dziesięciomiesięczny malec powinien domagać się uwagi! I to głośno!

Podniosła wzrok na ochmistrzynię. Błyskawicznie zorientowała się, że zyskała sympatię pani Burchett. Najwyraźniej ochmistrzyni spodziewała się zobaczyć kolejną lalę pokroju Lary lub Ingrid.

- Czy mogłaby mi pani opowiedzieć co nieco o tym miejscu? - zagadnęła. - Przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć, kto mieszka na zamku.

- Oprócz księcia Marka i panny Ingrid, a teraz jeszcze pani i panicza Henry'ego, tylko służba. A właściwie jej resztki, bo wiele osób odeszło już dawno. Tu nikt ich nie potrzebował,

często ludziom w ogóle nie płacono. Zostali tacy, którzy nie mieli dokąd pójść. Na przykład ja. Mój mąż zmarł przed dwudziestu laty, nie mam żadnej rodziny. Zaczynałam jako kucharka. Normalnie na książęcym dworze kucharka nie zostaje ochmistrzynią, ale tu panował bałagan. Wszystko przez to, że państwo prawie w ogóle nie bywali w domu, a jeśli już, to na krótko. Ostatni raz widziałam ich, jak panicz Henry miał dwa tygodnie. Ale książę Mark jest inny. Zamieszkał tu od razu.

- A panna Ingrid?

Pani Burchett wydeła wargi z niezadowoleniem.

- Siedzi tu od trzech dni. Podobno przyjechała, żeby naniego czekać, bo tak się stęskniła. Akurat. A jak się szarogęsi! - zachnęła się. - Zupełnie jak matka księżnej Lary... - Nagle zreflektowała się. - Och, najmocniej przepraszam!

Tammy wykonała uspokajający gest dłonią.

- Wiem, jaka jest moja matka i całkowicie podzielam pani zdanie na jej temat.

- Mimo to powinnam trzymać język za zębami. Wiem, gadam bez ładu i składu, ale... - Niespodziewanie w oczach pani Burchett zakręciły się łzy. - Ale widzi pani, ja tak rzadko mogę z kimś porozmawiać po angielsku. I jeszcze przywiozła pani panicza... Tak bardzo czekaliśmy na jego powrót. To dla nas bardzo ważne. Nie tylko dla nas, tu na zamku, ale dla całego państwa. Sama pani zobaczy. To jest, jeśli pani zostanie.

- Chyba zostanę, nie widzę innego wyjścia.

Przeszły do komnaty przylegającej do pokoju Henry'ego.

Tammy usiadła na brzegu ogromnego łóża, coraz dotkliwiej czując, że nie pasuje do tego miejsca.

- Zejdę zobaczyć, czy już przywieziono pani rzeczy.

- Wszystko jest tutaj. - Tammy wskazała na rzucony na podłogę plecak.

Pani Burchett osłupiała.

- Jak to?!

- Nic więcej nie potrzebuję.

- To w co się pani przebierze do kolacji?

- Nie przebieram się do kolacji. I zamierzam zjeść ją tutaj. Sama. Nie mam ochoty siedzieć przy stole z księciem. Ani z... Ingrid.

Ochmistrzyni spojrzała na nią z przerażeniem.

- Ależ to niemożliwe. Musi pani zejść na dół - Dobrze, ale w takim razie zjem razem ze służbą.

Na twarzy ochmistrzyni pojawiła się prawdziwa zgroza.

- To absolutnie wykluczone!

Do licha! Tammy bezradnie rozejrzała się dookoła. Co jej po tych luksusowych meblach? Wolałaby mikrofalówkę. Chociaż i tak w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego supermarketu!

- A czy nie mogłaby mi pani po prostu podesłać tu na górę jakiejś kanapki? - poprosiła.

Pani Burchett zawahała się.

- Może ten jeden raz, skoro ma pani za sobą długą podróż... Ale czy Jego Wysokość zgodził się na pani nieobecność na kolacji?

Tammy uśmiechnęła się uspokajająco, chociaż w tym obcym, majestatycznym miejscu jej pewność siebie nieco osłabła.

- Sama o sobie decyduję. On doskonale o tym wie.

Ochmistrzyni westchnęła.

- Zrobię, jak pani sobie życzy, ale nawet nie chcę myśleć, co powie Jego Wysokość, kiedy się dowie...

Tammy nakarmiła Henry'ego, który natychmiast potem zasnął, i rozpakowała się, co zabrało jej całe dziesięć minut. Wzięła prysznic, włożyła świeże dzinsy i bluzeczkę i poszła

się trochę rozejrzeć. Przydzielono jej całe skrzydło zamku, tak rozległe, że potrzebowała godziny, by zwiedzić zaledwie połowę.

Potem lokaj w liberii przyniósł kanapki na srebrnej tacy. Tammy czuła się coraz dziwniej i coraz bardziej nie na miejscu.

Ledwo zdążyła przełknąć jeden kęs, rozległo się pukanie do drzwi. Do komnaty wszedł książę Mark, ubrany z nieskazitelną elegancją. Ciemny, wieczorowy garnitur, śnieżnobiała koszula, krawat w odcieniu królewskiego błękitu.

Serce podskoczyło jej w piersi.

- Co ty robisz? - Mark obrzucił tacę pełnym dezaprobaty spojrzeniem.
- A jak myślisz? - Tammy machnęła trzymaną w ręku kanapką. - Jem kolację.
- Kolację jemy na dole. Zaraz siadamy do stołu.
- Ja już zaczęłam jeść.

Popatrzył na nią tak, jakby miał przed sobą przybysza z obcej planety.

- Henry śpi, więc nie musisz się nim zajmować. Nie ma potrzeby, żebyś siedziała tu sama.  
- Chcę dalej żyć po swojemu. Tak, jak mi się podoba.  
- Czy ty nie rozumiesz, że swoimi kapryсами możesz sprawić komuś przykrość? Służba przygotowała wspaniałą kolację na twoją cześć. Nie pozwolę ci ich obrazić. To bardzo wartościowi ludzie, pozostali lojalni rodzinie pomimo skandalicznego traktowania. Większość z nich służyła jeszcze u mojego wuja. Są uszczęśliwieni powrotem Henry'ego, doceniają twoją troskę o niego, chcą cię godnie powitać, a ty co? Stroisz fochy?

Nie znalazła na to odpowiedzi. Bezradnie rozejrzała się dookoła. W olbrzymich lustrach ujrzała odbicie skromnie ubranej dziewczyny na królewskim łożu.

- Mark, ja tu nie pasuję.
- Ja też.
- Akurat!

Książę z trudem zachowywał cierpliwość.

- Słuchaj, nie możesz przez następne dwadzieścia jeden lat siedzieć zamknięta w tym pokoju i się dąsać.

- Przede wszystkim nie mogę siedzieć w twoim zamku. Na pewno znajdzie się tu dla mnie i Henry'ego jakiś domek ogrodnika, czy coś w tym stylu.

- Jasne, następca tronu zamieszka w kurnej chacie - skwitował z ironią Mark.  
- Jeśli jeszcze raz usłyszę frazę „następca tronu”...  
- Usłyszysz ją jeszcze wiele razy - przerwał jej tonem nie znoszącym sprzeciwu - ponieważ to jest właśnie sedno sprawy. Myślisz, że mnie jest tutaj dobrze? Mam piękną posiadłość zaledwie kilkanaście kilometrów stąd, w Renouys. Chciałbym dalej tam mieszkać i prowadzić swoje normalne życie, a nie występować w roli panującego. Robię to wyłącznie dlatego, że poczuwam się do odpowiedzialności.

- A ja nie? Gdybym się nie poczuwała, nie byłoby mnie tutaj!  
- Więc skoro już jesteś, bądź konsekwentna do końca. Sprostaj wyzwaniom, zamiast chować się po kątach jak dziecko, tylko dlatego, że boisz się iść na elegancką kolację.

Tammy zerwała się na równe nogi, zła jak osa.

- Nie boję się! Potrafię się zachować wśród takich jak ty, nie myśl sobie.  
- Tak? To czemu nie chcesz do nas zejść?  
- Bo jestem śpiąca po podróży.  
- Ciekawe. W samolocie spałaś przez całe sześć godzin.  
- Wcale nie.

- Spałaś - powtórzył, a w jego oczach zamigotało rozbawienie. - Wiem coś o tym. Oparłaś głowę na moim ramieniu, więc nie mogłem się ruszyć. Do tej pory mam zeszywniały kark, a do tego plamę na koszuli, bo pieluszka Henry'ego przesiąkła... Jest więc dowód.

- Na pewno nie spałam z głową na twoim ramieniu. Zmyślasz! W ogóle cała ta rozmowa

jest bez sensu.

- Z tym akurat się zgadzam. - Zerknął na zegarek. - Kolacja zostanie podana za kwadrans, przedtem Ingrid i ja wypijemy w salonie małego drinka. Będzie mi miło, jeśli do nas dołączysz.

- Nie mam najmniejszej ochoty...

- Ani ja. A jednak obowiązki należy wypełniać. Skoro ja mogę, to ty też.

- Kiedy nawet nie mam co na siebie włożyć!

Uśmiechnął się.

- Sama jesteś sobie winna. Ja chyba coś mówiłem na ten temat.

Tammy wściekła się.

- Świetnie! Przyjdę w tych łańkach i skompromituję się przed wszystkimi, bo ewidentnie na tym ci właśnie zależy! Na tym, żebym się ośmieszyła! Proszę bardzo! A teraz wyjdź stąd!

- Ale...

- Wyjdź z mojego pokoju!

Miała piętnaście minut. Ratunku...

To będzie kompletna klęska, Mark doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Jak on śmie stawiać ją w takiej sytuacji?

Nie, była wobec niego trochę niesprawiedliwa. Przecież od samego początku uprzedzał ją o konieczności posiadania jakiegoś eleganckiego stroju.

Co teraz?

Ingrid odegra rolę księżniczki, a jej przypadnie rola ubogiej krewnej, żebraczki prawie. To jej się nie uśmiechało.

Chwileczkę... Lara miała zwyczaj porzucania ubrań, które się jej znudziły, a wszystko nudziło się jej błyskawicznie. Wkładała coś raz czy dwa, a potem już tego nie chciała, już miała ochotę kupować coś nowego. Nawet jeśli rzadko bywała na zamku, w garderobie powinno coś zostać...

Tammy spojrzała na przycisk dzwonka.

- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę wezwać służbę - powiedziała pani Burchett. - Normalnie wysyłam którąś z dziewcząt, ale dzisiaj sama będę do pani dyspozycji.

Tammy podjęła decyzję.

Ingrid niecierpliwiła się - Mark zostawił ją samą w salonie. Do czego to podobne?

- Gdzie byłeś tak długo? - spytała, ledwo zszedł na dół.

- Poszedłem zaprosić pannę Dexter na kolację, a potem jeszcze na kilka minut zatrzymał mnie Dominik, dlatego trochę to trwało. Panna Dexter pewnie zaraz zejdzie.

- Żartujesz. Nie odmówiła? Nie przypuszczałam, że taka osoba...

- To znaczy jaka? - przerwał jej nietaktownie.

Nie chciał być nieuprzejmy, lecz obecność Ingrid wytrąciła go z równowagi. Nie spodziewał się, że zastanie ją w zamku.

- Osoba nie z naszej sfery. - Ingrid obdarowała go najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

- W końcu ściągnąłeś ją z drzewa w jakiejś australijskiej głuszy, o ile mnie pamięć nie myli. - Zaśmiała się perliście. - Kochanie, będzie my mieli szczęście, jeśli ona w ogóle potrafi posługiwać się nożem i widelcem.

- Czy nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków? - spytał oschle Mark. - Ona jest siostrą Lary.

- Właśnie. Czy to nie zdumiewające? Jak siostry mogą być tak różne? Lara olśniewała urodą.

- Tammy, to jest, Tamsin, też nie jest brzydka.

- Nie, właściwie nie... Ale to ubranie! I te piegi!

- Chodźmy na kolację - zaproponował Mark, ucinając dalszą dyskusję, i podał jej ramię.

- A nie chcesz poczekać na tę małą z buszu?  
- Nie ma takiej potrzeby - od strony drzwi odezwał się zdumiewająco opanowany głos, choć pobrzmiwało w nim coś złowieszczonego. - Ta mała z buszu już tu jest.

Mark odwrócił się i zamarł.

Jak ona to zrobiła w ciągu piętnastu minut?!

Tammy Dexter w wytartych dzinsach i spłowiałej bluzce znikła. Na progu salonu stała panna Tamsin w jedwabnej małej czarnej, skrojonej z wyrafinowaną prostotą. Sukienka miała głęboko wycięty dekolot, ledwo zaznaczone rękawy i była naprawdę krótka. Dzięki temu widać było długie opalone nogi, a wysoko sznurowane, czarne sandały powodowały, że nogi te wydawały się jeszcze dłuższe...

Tammy wyszczotkowała włosy i teraz jej twarz otaczała połyskliwa, ciemna chmura miękkich drobnych loczków. Dyskretny makijaż podkreślał kontur wielkich piwnych oczu, a delikatna szminka ożywiła lekko kolor ust.

Tammy wyglądała oszalamiająco!

- Jak to zrobiłaś? - wyrwało się księciu i tym razem to w jej oczach zamigotało rozbawienie.

- No proszę, a ja się martwiłam o swoje maniery.

Mark zmitygował się. Faktycznie, nie zachował się stosownie.

- Wybaczcie, proszę. Tammy, poznaj Ingrid. Ingrid jest...

- Przyjaciółką Marka - wtrąciła gładko kasztanowłosa i powściągliwie podała Tammy chłodną dłoń. - Miło mi panią poznać. Właśnie rozmawialiśmy o tym, że musi się pani czuć tutaj dość obco, tak daleko od kraju... - Zlustrowała Tammy przenikliwym spojrzeniem, a na jej perfekcyjnie umalowanej twarzy pojawił się nieszczerzy uśmiešek. - Widzę, że przeglądała pani garderobę siostry. Miałam zamiar oddać te wszystkie rzeczy dla biednych, ale skoro przydadzą się pani...

Ta kobieta potrafiła wbijać bolesne szpile z prawdziwą elegancją.

- Nie czytałam jeszcze testamentu mojej siostry, nie wydaje mi się jednak, by zawierał klauzulę uprawniającą panią do dysponowania jej rzeczami - odparła chłodno Tammy, po czym wzięła kieliszek szampana, który podał jej Mark. - Dziękuję. Właśnie tego mi było trzeba. Dom Perignon, jak widzę. Mój ulubiony.

Mark zamrugął oczami, jakby próbował się upewnić, czy nie śni.

Do tej pory żywił głębokie przekonanie, że Tammy zaszyła się w buszu z powodu kompleksu niższości. Jej matka i siostra robiły piorunujące wrażenie - idealnie umalowane, uczesane, perfekcyjne w każdym calu. Ktoś, kto musiał bezustannie porównywać się z nimi, ani chybi w końcu ukryłby się w jakimś odludnym miejscu, gdzie nikt nie mógłby go oglądać...

A przecież Tammy była równie piękna i atrakcyjna jak jej matka i siostra.

Nie.

Była piękniejsza.

Nie nosiła żadnej biżuterii, była umalowana oszczędnie, a przecież przyćmiewała Ingrid, która nagle wydała się bardzo pretensjonalna, ostentacyjnie wystrojona, sztuczna, lalkowata.

Ingrid również to zauważyła. I bynajmniej nie była zadowolona.

- Skoro jej rzeczy pasują na panią, to może dobrze, że się nie zmarnują... Zapraszamy do stołu - powiedziała z uśmiechem i gestem pani domu wskazała Tammy krzesło.

Mark skrzywił się nieznacznie. Ingrid zdecydowanie za dużo sobie wyobrażała. Będzie musiał zrobić z tym porządek.

Tammy nadal nie dawała po sobie niczego poznać.

- Owszem, pasują, a sądząc po zawartości garderoby, nie będę musiała nic kupować aż do osiągnięcia przez Henry'ego pełnoletności.

- Zamierza pani zostać u nas tak długo?



Tammy skinieniem głowy podziękowała kamerdynerowi, który podsunął jej krzesło.

- Henry potrzebuje matki. Teraz ja nią jestem.

- Ale jeśli Mark i ja...

- Może wina? - wtrącił pośpiesznie książę.

Tammy uśmiechnęła się do niego czarująco.

- Z przyjemnością.

Mark nie mógł zasnąć. W końcu koło drugiej w nocy wstał, ubrał się i wyszedł na zewnątrz, żeby przejść się nad jeziorem.

Do czasu śmierci Jeana-Paula wiódł w miarę nieskomplikowane życie, a przynajmniej mniej skomplikowane niż obecnie. Trzymał się z dala od zamku i obowiązujących w nim konwenansów. Sprawowanie władzy, pławienie się w luksusach i uważanie się za kogoś lepszego od zwykłych śmiertelników było mu najzupełniej obce.

Jego ojciec był młodszym bratem panującego. Bracia żyli ze sobą w zgodzie - do czasu - ale ich synowie, wychowani przez dwie bardzo różniące się kobiety, już nie. Matka Franza i Jeana-Paula była niewiarygodną snobką, która za swoje największe osiągnięcie życiowe uważała małżeństwo z księciem i książęcy tytuł. W przeciwieństwie do niej matka Marka była osobą życzliwą ludziom, pogodną, stroniącą od dworskiej obłudy, arogancji i egoizmu.

A jednak książęca rodzina zniszczyła ją. Mark ponuro zacisnął wargi na myśl o tym, co spotkało jego matkę. Z tego właśnie powodu nie chciał mieć nic wspólnego z dworem, zamkiem, koroną i władzą. Owszem, spełni swój obowiązek, ponieważ kocha swój kraj, ale nie robi nic więcej ponad to, co konieczne. Sceduje część uprawnień na parlament i rząd, a potem odda panowanie Henry'emu - ale to jeszcze odległa przyszłość. Na razie przekona Tammy, by zarządzała zamkiem, co umożliwi mu powrót do Renouys. Chciał uciec z królewskiej siedziby.

I od Tammy.

Jeszcze żadna kobieta nie działała na niego w ten sposób, co zdumiewało o tyle, że Tammy nie była w jego typie. To znaczy w typie, jaki dotąd preferował, a którego doskonały przykład stanowiła Ingrid.

Na wspomnienie wrednego i jadowitego zachowania dotychczasowej przyjaciółki jeszcze mocniej zacisnął zęby. Podczas kolacji zniechęciła go do siebie całkowicie. Miała nadzieję na wspólnie spędzoną noc, ale wykręcił się zmęczeniem po podróży.

- Dzisiaj naprawdę muszę odpocząć - oświadczył, może mało taktownie.

Ingrid nie dała za wygraną.

- Z przyjemnością zostanę tu dłużej, kochanie, nigdzie mi się nie spieszy.

Kochanie... To słowo aż zgrzytnęło mu w uszach. Owszem, była piękna, elegancka i spędzili ze sobą kilka miesięcy, ale na tym koniec. Musi się od niej uwolnić. Zresztą, żaden z jego związków nie trwał dłużej. Mark nie miał złudzeń co do tego, co popycha kobiety w jego ramiona. Tytuł. Możliwość wejścia do rodziny panującej. A przecież to nie mogło się dobrze skończyć. Zarówno jego matka, jak i siostra Tammy drogo zapłaciły za poślubienie księcia.

Tammy...

Nagle jego myśli powędrowały do niej. Znowu widział ją siedzącą na drzewie i patrzącą na niego z góry, śpiącą z głową na jego ramieniu, huśtającą na kolanach malutkiego siostrzeńca, roześmianą, bosą, olśniewającą w czarnej sukience. ..

Taka dziewczyna nie nadawała się na krótki romans, z taką dziewczyną należałoby się ożenić, co w tym wypadku oznaczałoby uwikłanie się na zawsze w życie na zamku, a tego Mark by nie zniósł. To budziło jego najgłębszą odrazę.

Chwileczkę. Skąd w ogóle przyszła mu do głowy ta nedorzeczna myśl, by się żenić?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obudził go śmiech. Mark, półprzytomny po nieprzespanej nocy, z trudem otworzył jedno oko. Budzik wskazywał ósmą rano. Księżę nigdy nie wstawał tak późno.

Ten śmiech musiał mu się chyba przyśnić. Tutaj nikt nigdy nie śmiał się w taki sposób - swobodny i prawdziwie radosny.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do komnaty wszedł Dominik, główny kamerdyner, mocno już wiekowy. Postawił przy łóżku srebrną tacę ze śniadaniem i odsłonił okna. Mark skrzywił się porażony blaskiem porannego słońca.

- Przykro mi, Wasza Wysokość, ale o dziewiątej przychodzi monsieur Lavac.

- Monsieur Lavac?

- Tak, Wasza Wysokość sam mu wyznaczył spotkanie. Ma przedstawić księgi rachunkowe zamku.

Znowu dobiegły go odgłosy wesołości.

- Kto tam tak się śmieje? Czy to ta... panna Dexter?

- Czyżby to pana obudziło? Mam kazać im przestać?

Mark zdumiał się. Im?

- To znaczy komu?

- Panience Tammy i paniczowi Henry'emu. – Dominik wyjrzał przez okno w kierunku południowej skarpy, a jego twarz starego służbisty niespodziewanie rozjaśniła się. - Ale szkoda by im było tego zakazywać. Nie sądziłem, że moje oczy ujrzą jeszcze kiedyś tutaj taki widok. Ta ciocia małego księcia...

Słowa kamerdynera rozbudziły ciekawość Marka. Zapomniał o zmęczeniu i niewyspaniu. Odrzucił kołdrę na bok, wstał i też podszedł do okna.

Tammy wchodziła akurat na łagodny stok pod jego oknem, niosąc Henry'ego. Tego ranka znów miała na sobie dzinsy i spraną koszulkę, i znowu była boso. Gdy weszła na górę, położyła się na trawie, ułożyła siostrzeńca przed sobą w taki sposób, że patrzyli na siebie, a ich nosy niemal się stykały, mocno ujęła jego małe ramionka i poturlała się razem z nim w stronę jeziora. Zatrzymali się przy samym brzegu, zaśmiewając się do rozpuku. Henry wyciągnął łapki, wyraźnie prosząc o jeszcze.

Mark obserwował ich chciwie. Czuł, że nie tylko pragnie tej kobiety, ale pragnie też robić to samo co ona - beztrudnie bawić się z dzieckiem. Nigdy w życiu nie miał takich myśli. Spozstrzegł, że kamerdyner przygląda się mu przenikliwie, przybrał więc obojętny wyraz twarzy i odwrócił się od okna.

- Rozumiem, że postępowanie panny Tamsin spotyka się z twoją pełną aprobatą. Czy reszta służby podziela twoje zdanie? - spytał oficjalnie.

Dominik nie dał się nabrać na tę udawaną obojętność, ale nie dał też po sobie nic poznać.

- Jak najbardziej, Wasza Wysokość! - zapewnił. - Panienska wstała o szóstej, zeszła do kuchni i zjadła z nami śniadanie. Nie chcieliśmy się na to zgodzić, ale powiedziała, że inaczej w ogóle nie będzie jeść. I przyniosła ze sobą panicza, i była dla wszystkich bardzo miła. Nie to co... -urwał nagle z zakłopotaniem.

- Nie to co księżna Lara? - dokończył Mark.

Stary kamerdyner spojrzał księciu prosto w oczy.

- Tak. Księżna Lara i, proszę o wybaczenie, pański stryjeczny brat, księżę Jean-Paul, traktowali służbę bardzo źle. Nie tak było za dawnych czasów...

Mark słuchał jednym uchem. Nie potrafił oprzeć się pokusie i znów wyjrzał przez okno. Tammy leżała na trawie, tym razem na wznak, trzymając Henry'ego nad sobą w wyciągniętych ramionach, gaworząc, jakby sama była dzieckiem. Ich radość była tak zaraźliwa, że Mark nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Przepraszam, ale czy Wasza Wysokość planuje zabrać ich do Renouys?

- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Tak sobie myślę, że może Wasza Wysokość chciałby mieć ich u siebie.

I to jest właśnie problem ze starymi służącymi, pomyślał Mark. Wydaje im się, że mają prawo wtykać nos w nie swoje sprawy. Dominik doskonale pamiętał go jako berbecia w krótkich spodenkach, dlatego chwilami zapominał o okazywaniu Markowi szacunku należnego władcy kraju.

- Panna Tamsin zostanie tutaj.
- Wasza Wysokość też powinien.
- Nie, mój dom jest w Renouys. Gdy tylko uporządkuję wszystkie sprawy, które zaniedbał Jean-Paul, wyjeżdżam.

- Zawsze stąd rządzono krajem - powtórzył z uporem kamerdyner.
- Już podjąłem decyzję - uciał szorstko Mark.

Od chwili śmierci Jeana-Paula czuł się jak schwytyany w pułapkę. Musiał zapewnić sobie choć minimum wolności, inaczej zwariuje.

- Panna Ingrid na pewno nie będzie miała...
- Panna Ingrid nie ma tu nic do rzeczy, i przestań mnie wreszcie wypytywać!

Twarz kamerdynera przybrała wyraz urażonej niewinności.

- Ja? Wypytywać? Waszą Wysokość? Gdzieżbym śmiał!

Mark tylko się uśmiechnął i spojrział na zegarek.

- Monsieur Lavac przyjdzie o dziewiątej, powiadasz... To jeszcze jest trochę czasu. Czy panna Ingrid zeszła już na śniadanie?

- Nie, Wasza Wysokość.
- Och, co za szkoda... W takim razie chyba pójdę na mały spacer.
- Świetny pomysł. Południowy stok jest bardzo przyjemny o tej porze dnia - zgodził się Dominik i odwrócił głowę, by ukryć chytry uśmieszek.

Mark wziął prysznic w rekordowym tempie, wskoczył w dzinsy, włożył koszulę i sięgał właśnie po buty, gdy nieoczekiwanie powodowany nagłym impulsem postanowił wyjść z zamku boso. Szybko tego pożałował. Alejka między marmurowymi schodami a trawnikiem była wysypana żwirem, który boleśnie wbijał mu się w stopy. Mark skrzywił się mimo woli, a Tammy roześmiała się na ten widok.

- Chyba Wasza Wysokość zapomniał swoich książęcych bamboszy.
- Często chodzę boso - oznajmił z godnością Mark.
- Aha. A ja często chadzam w koronie.

Pomyślał, że w życiu nie widział równie ujmującego uśmiechu.

- I jak ci się tu podoba?

- Mam spore zastrzeżenia co do zakwaterowania - oznajmiła z udawaną powagą. - Nie jest to standard, do jakiego przywykłam. Przedyskutowałam tę sprawę z Henrym. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że jesteśmy zahartowani i potrafimy znieść nawet najgorsze warunki, więc wytrzymamy tu jakoś.

I znowu uśmiechnęła się tak promiennie, że Markowi odjęło mowę.

Tammy stała na tle zamku i mimo skromnego ubrania i bosych stóp wyglądała tak, jakby była jego panią. Henry, zmęczony i szczęśliwy, tulił się ufnie do jej piersi. Tak, ona ma dość siły, by się tym wszystkim zaopiekować.

- Mark, mówiąc poważnie, chciałabym porozmawiać o tym, gdzie będę mieszkać. Faktycznie, domek ogrodnika nie jest najlepszym miejscem dla Henry'ego, ale naprawdę nie mogę zostać tu z tobą. To nie wypali. Sam widziałeś, jak wyszło wczorajszego wieczora.

- Moim zdaniem wyszło bardzo dobrze - odparł z pełnym przekonaniem.

Na samo wspomnienie upokarzających uwag Ingrid krew napłynęła Tammy do twarzy.

- A moim zdaniem bardzo źle. I jeśli sądzisz, że zamierzam potulnie odgrywać rolę gościa twojej kochanki, to bardzo się mylisz.

- Ingrid nie jest moją kochanką - zaproponował gwałtownie Mark.  
- Doprawdy? Nawet jeśli zanadto zaczęła wchodzić ci na głowę i zamierzasz ją zostawić, by znaleźć sobie inną, problem nie znika. Nie patrz tak, znam twoje obyczaje, już mi o nich opowiedziano.

Mark aż zatrząsł się z furii.

- To są moje prywatne sprawy i nie nikomu do tego!  
- Niestety, twoje prywatne sprawy stawiają mnie w nieprzyjemnym położeniu. Niby chcesz, żebym była domownikiem i członkiem rodziny, a tymczasem Ingrid zachowuje się wobec mnie jak pani domu wobec uciążliwego gościa, każdym słowem dając mi odczuć moją niższość. Czy każda twoja snobistyczna przyjaciółka będzie mną pomiatać i wbijać mi szpile?

- Ona wcale tobą...  
- Daruj sobie. Nie zapominaj, że jestem córką Isobelle. Rozpoznaję takie osoby na kilometr. Co gorsza, twoje postępowanie zaszkodzi Henry'emu. Prowadzisz się niemoralnie, dasz mu zły przykład.

- Nie wierzę własnym uszom!  
- Przykro mi, ale ktoś musiał ci to wreszcie powiedzieć. Sam widzisz, że nie możemy mieszkać pod jednym dachem. Albo znajdziesz nam inny dom, albo wracam do Australii.

- Nie, to ja wracam do siebie, a ty zostajesz tutaj.  
Zapadła głucha cisza, przerywana jedynie skrzypieniem koła taczki, którą nieopodal pchał pomocnik ogrodnika.

- Wyjeżdżasz? - spytała w końcu Tammy.  
- Tak, gdy tylko załatwię wszystko, co jest tu do załatwienia.  
- I zostawisz mnie samą?

- Nie, przecież masz kilkanaście osób służby.  
Tammy ze zgrozą rozejrzała się dookoła.  
- Zamierzasz dać nogę i zostawić mnie z tym całym kramem?  
Nikt nigdy nie śmiał odzywać się do niego w podobny sposób! Czy ona zapomniała, że zwraca się do księcia ze starego europejskiego rodu? I ta jej angielszczyzna...

- Nie daję żadnej nogi. I nie ma potrzeby histeryzować. Będę niedaleko, Renouys leży kilkanaście kilometrów stąd, wspominałem ci o tym.  
- I stamtąd zamierzasz rządzić? Czemu nie stąd?  
- Ponieważ tak naprawdę jestem inżynierem, projektuję tamy, zbiorniki wodne, systemy kanałów nawadniających. Nie zamierzam rezygnować z mojej pracy.

Tammy parsknęła gniewnie.  
- Ciekawe! Czy mam ci przypomnieć, że ja jestem dendrologiem i musiałam zostawić swoją ukochaną pracę?

- Możesz ją zacząć w każdej chwili. Tutaj.  
- A ty nie możesz tutaj robić tych swoich projektów? - zaatakowała.  
- Teoretycznie tak, ale nie widzę potrzeby...  
- Ale ja widzę! Nie umiem zarządzać posiadłością, w dodatku tak wielką!

Mark wykonał niecierpliwy gest ręką.  
- O to się w ogóle nie martw. Tu wszystko kreci się samo.  
- Tak, pani Burchett opowiadała mi, jak dobrze wszyscy na tym wychodzą - skwitowała z gorzką ironią.

Zirytował się. Najpierw kamerdyner wsadza nos w nie swoje sprawy, teraz ochmistrzyń... Ładne rzeczy.

- Pani Burchett powinna trzymać język za zębami. Reszta służby też!  
- Nie, właśnie powinni mówić, co ich gryzie i co jest nie tak - odpaliła coraz bardziej rozżłoszczona Tammy. - Od dziesięciu lat wszystko się sypie. Ani Franz, ani Jean-Paul nie

wzięli na siebie żadnej odpowiedzialności nie tylko za sprawy państwa, ale nawet i za sprawne zarządzanie własnymi dobrami. Posiadłość jest na skraju ruiny, choć jeszcze nie widać tego tak wyraźnie. Pańskie oko konia tuczy, powtarza pani Burchett, a ja się z nią zgadzam. Tymczasem ty też umywasz ręce i wracasz do swoich zbiorników wodnych.

- O, przepraszam - zaperzył się Mark. - Akurat ja nigdy nie chciałem...

- Brać na siebie odpowiedzialności? - wtrąciła z furją. - Tak, wiem. Podobno przez całe życie uciekasz przed angażowaniem się w cokolwiek. Pani Burchett mówi, że to przez tę historię z twoją matką.

Mark przybladł.

- Co wiesz o mojej matce? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Popelniła samobójstwo, gdy wyszło na jaw, że twój ojciec ma romans ze swoją bratową, matką Franza i Jeana-Paula. Miałeś wtedy dwanaście lat. Twój ojciec niedługo potem zapił się na śmierć. Podobno znienawidziłeś całą rodzinę, obarczając ich winą za tę tragedię.

Ochmistrzyni powinna wylecieć z roboty, pomyślał. I to natychmiast.

Moment, przecież tylko powtórzyła to, o czym i tak rozpisywały się żądne sensacji kolorowe pisma. Cała ta sprawa od dawna była tajemnicą poliszynela.

Tammy ochłonęła nieco. Chyba się zagalopowała.

- Przepraszam, nie powinnam była o tym wspominać. Zrozum jednak, co próbuję ci powiedzieć. Tym miejscem musi wreszcie zacząć ktoś zarządzać. Nie można znów zostawić tych ludzi zupełnie samych i zawieść ich tylko dlatego, że w przeszłości...

Tym razem wybuchnął Mark.

- Dostyc! Moja przeszłość nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu chcę wrócić do siebie.

Nie zamierzała ustąpić. Nie tylko zamek i służba potrzebowali Marka. Ktoś musiał przygotować Henry'ego do jego przyszłej roli. Tammy mogła wychować dziecko, ale następcę tronu musiał wychować Mark.

- Masz obowiązki do spełnienia - przypomniała mu. - Jesteś władcą tego kraju.

- W świetle prawa władcą jest Henry.

Zerknęła na śpiącego na jej rękę chłopczyka.

- Tak? - W jej głosie brzmiała zjadliwa ironia. - Ma może podpisać jakąś ustawę?

— Nie wypieram się moich obowiązków państwowych, ale nie będę mieszkał w zamku.

Odtąd to jest twój dom i Henry'ego.

- Jasne, ściągnąłeś mnie tu po to, żeby zwalić mi na głowę zajmowanie się tym miejscem. Kolejny kłopot, którego uda ci się pozbyć. Bardzo sprytnie!

- Niczego na ciebie nie zwalam!

- Co tu się dzieje?!

U szczytu marmurowych schodów stała Ingrid, zaalarmowana podniesionymi głosami. Ze zdumieniem patrzyła na zacierzewaną parę.

Jak zwykle wyglądała jak wycięta z okładki żurnala. Tego ranka była ubrana w tradycyjnym stylu angielskiego ziemiaństwa - tweedowa spódnica, jasny kardigan z kaszmiru, stosowne dodatki. Do tego oczywiście pełen makijaż oraz idealnie ułożone włosy.

Nagle zauważyła boso stopy Marka i na jej twarzy odbił się wyraz absolutnej zgrozy.

- Mark, a cóż ty robisz boso na dworze?!

Jej zgroza wydała mu się tak absurdalna, że aż się roześmiał, choć jeszcze wszystko się w nim gotowało.

- Stoję na żwirze - odparł. - Ale nie polecam, to dobre dla fakira. Nie mam pojęcia, jak Tammy to wytrzyma. A tak w ogóle to dzień dobry.

Ingrid nie odwzajemniła uśmiechu.

- Dzień dobry - odparła z urazą, nawet nie racząc rzucić okiem na Tammy. - Sądziłam, że przyjdiesz do jadalni dotrzymać mi towarzystwa przy śniadaniu.

- Sądziłem, że zjesz śniadanie w łóżku.

- Nigdy nie jem w łóżku. Służba doskonale o tym wie. Wystarczyło ich spytać.
- Skąd mogą wiedzieć, skoro przyjechałaś wczoraj?
- Nie. Jestem tu już od czterech dni.

Mark zmarszczył brwi.

- Przyjechałaś od razu po moim wyjeździe do Australii? Po co?

- Dla twojego dobra. Ktoś musi pilnować służby, inaczej nie wiadomo, co człowiek zastanie po powrocie.

- Właśnie to samo mu mówiłam - wtrąciła Tammy. - Czy pani wie, że Jego Wysokość daje dyla?

Ingrid, która nie знаła potocznej angielszczyzny, spojrzała na Tammy takim wzrokiem, jakby patrzyła na coś, co nagle wypełzło spod liści kapusty.

- Co robi?

- No, wraca do Renouys, a mnie zostawia samą na gospodarstwie. O, jak widzę, pani też uważa to za zły pomysł. Proszę więc przekonać księcia, dobrze? - Obróciła się do Marka i obdarzyła go słodkim uśmiechem. - A teraz Wasza Duża Wysokość wybaczy, ale muszę położyć Jego Małą Wysokość do łóżka.

Tak naprawdę Tammy była przerażona. Zamek i jego otoczenie niezmiernie jej się podobały, ale pomysł zarządzania cudzymi dobrami, i to tak ogromnymi, nie podobał się jej zupełnie.

- Czy zechce pani zadysponować, co ma być na kolację? - spytała ją późnym rankiem pani Burchett.

- Ale dlaczego ja?

- Nie chcę przeszkadzać księciu, jest zajęty.

- Proszę więc iść do panny Ingrid.

Ochmistrzyni zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Ona jest tu tylko gościem, a gość nie decyduje o takich sprawach. Co pani powie na duszone przepiórki?

- Przepiórki? Szczerze powiedziawszy, wolę kurczaka - odparła Tammy bez zastanowienia.

Wbrew jej oczekiwaniom lunch przebiegł spokojnie i nadzwyczaj przyjemnie - ponieważ była sama.

Nauczona doświadczeniem poprzedniego wieczora, przybyła punktualnie. Nawet pamiętała, by włożyć buty... Tymczasem w jadalni zastała tylko głównego kamerdynera, a na stole stało jedno nakrycie. Poczowała jednocześnie ulgę i zawód.

- Jego Wysokość i panna Ingrid zjedzą dziś lunch gdzie indziej - odparł oficjalnym tonem Dominik, gdy go o to spytała i nie chciał zdradzić żadnych szczegółów.

Tammy postanowiła wykorzystać okazję i uczynić z niego swego sojusznika. Wprawdzie podczas wspólnego śniadania w kuchni w ogóle się nie odzywał, ale zauważyła, że bacznie ją obserwował i chyba poczuł do niej sympatię. Chyba mogliby się zaprzyjaźnić...

I rzeczywiście. Przy deserze Dominik był już zawojowany na amen. Tammy ponownie zagadnęła go, gdzie podzieli się Ingrid i Mark.

- Pojechali do Renouys - wyjaśnił, tym razem chętnie. - Księżę nie lubi zamku, a nam wszystkim zależy na jego obecności tutaj. Może panienka by go jakoś przekonała....

- Już próbowałam. Nie mam pomysłu, co mogłoby go skłonić do pozostania.

- Ja też nie - przyznał. - Gdyby jednak panienka coś wymyśliła, wszyscy bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Po posiłku Tammy zbuntowała się. Skoro Mark pojechał robić to, co lubi, czyli projektować te swoje tamy, to ona też ma prawo zająć się pracą. Zostawiła śpiącego Henry'ego pod opieką pani Burchett, a sama poszła poszukać głównego ogrodnika.

Otto był jeszcze starszy niż Dominik i ledwo mówił po angielsku, ale żywił taką samą

miłość do drzew jak Tammy. Mimo trudności językowych już po pięciu minutach byli przyjaciółmi i zgodnie pochylali się nad planami, na których Otto rozrysował ogród swoich marzeń. Od dziesięciu lat nie mógł uzyskać pozwolenia na zrobienie czegokolwiek, więc tylko snuł wizje i przelewał je na papier.

Projekt Ottona zachwycił Tammy. Z planami w ręku wyszli do ogrodu i w jakimś przedziwnie mieszanym języku omawiali zmiany, jakie należałoby przeprowadzić. Tammy zapomniała o całym świecie, o upływającym czasie, o kłopotach, o wszystkim.

- Ależ oczywiście, że na tej osi powinna być aleja! - wykrzyknęła z ogniem w głosie, gdy przystanęli na skraju starego parku. - Będzie wspaniały widok!

- Gdyby księżę pozwolił...

Tylko machnęła ręką.

- Oczywiście, że pozwoli.

- A na co pozwolę? - za jej plecami odezwał się znajomy głos.

Odwróciła się i ujrzała między drzewami Marka, ubranego w elegancki garnitur. Widziała go już i w stroju książęcym, i w wieczorowym, i w zwyczajnych dżinsach - i za każdym razem było to samo. Za każdym razem na moment odbierało jej mowę z wrażenia. Wołała nie analizować, jakie były przyczyny tego faktu.

- Na realizację planów Ottona. Widziałeś je? Są genialne!

Stary ogrodnik, zmieszany, zwijał papiery w rulon, ale Tammy zdecydowanie wyjęła mu je z ręki, ignorując wszelkie protesty - Sam popatrz! Na przykład na tamym wzgórzu jest wiatrołom, dziesięć lat temu potężny huragan zważył drzewa. Przynajmniej tak zrozumiałam. Trzeba koniecznie posadzić nowy las, ponieważ następuje erozja i wypłukiwanie żyznej warstwy gleby. Tolerowanie takiego stanu rzeczy to zbrodnia!

- Zbrodnia? - Mark obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, ale nie zwracała na to uwagi.

- Do tej pory nie pozwalano Ottonowi nic robić, a to jest prawdziwy wizjoner! Mark, musisz się zgodzić. To nie będzie nic kosztować, on przygotował już tyle sadzonek, że nie trzeba nic kupować. Wystarczy jedno twoje słowo i będziemy mogli zabrać się do roboty!

- My?

Zarumieniła się, lecz nie potrafiła ukryć podekscytowania. Było tu tyle pracy!

- Przecież nie odmówię mu pomocy.

- W takim razie musisz zostać w zamku - zauważył z satysfakcją.

Tammy nie dała się podejść.

- Nie, mogę dojeżdżać. To ty tu zostaniesz. Już ci powiedziałam, że nie uda ci się zważyć prowadzenia całego tego kramu na barki zwyczajnej dziewczyny!

- Chyba nie mówisz o sobie? - Przyjrzał się jej uważnie. - Nie mogłaś być zwyczajna, nawet jak miałaś trzy latka. - Odwrócił się do ogrodnika i spytał po francusku: - Co o niej myślisz, Ottonie? Czy ona nie jest wspaniała?

- O, tak - zgodził się żarliwie starsuszek, rozpromieniając się. - I piękna. Bardzo piękna.

Mark powrócił spojrzeniem do Tammy.

- To prawda - przytaknął w zamyśleniu. Delikatnie wyjął z jej włosów zaplątane źdźbło trawy. - Zdecydowanie piękna.

- Czy ja wam przypadkiem nie przeszkadzam? - spytała, zakłopotana.

- Nie, dlaczego? - odparł, przechodząc na angielski. - Właśnie rozmawiamy o twojej urodzie.

- Jasne. Mam siano we włosach, poplamioną bluzkę i rozdarte na kolanie dżinsy. Też mi uroda! Chyba obaj upadliście na głowę.

Mark uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, dla którego przeleciała przez pół świata.

- Nie sądzę... Aha, przyszedłem w sprawie kolacji. Dziś nie wolno się spóźnić, bo na przystawkę będzie suflet. Pani Burchett zdradziła mi też, że planowała podać przepiórki,

ale pani domu zadysponowała kurczaka.

- Kiedy ja wcale nie... - wyjąkała Tammy. - To znaczy tak, ale... Nie chodziło mi...
- Widzisz, jak ci świetnie idzie? Urządzasz ogrody, układasz menu. Spokojnie możesz zarządzać zamkiem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tammy weszła do salonu i stanęła jak wryta. Ingrid nie było. Przed kominkiem stał tylko Mark, który na widok jej zdumienia uśmiechnął się zagadkowo.

- Czemu się śmiejesz? - zareagowała impulsywnie, ale natychmiast się zreflektowała. - To jest, dobry wieczór, Wasza Wysokość.

- Dobry wieczór pani. - Skłonił się z szacunkiem i nie było w tym ani śladu kpiny. Równie naturalnym gestem ujął jej dłoń i ucałował.

Tammy zmieszana się ogromnie. Ilu spotkała w życiu mężczyzn, którzy mieli zwyczaj całować damę w rękę? Ani jednego!

- Gdzie jest Ingrid? - Jej pytanie wypadło dość szorstko, ale był to niezamierzony efekt. Uśmiech znikł z twarzy Marka.

- Pojechała do domu.

- Twojego?

- Swojego.

Z jednej strony ją to ucieszyło, a z drugiej...

- Pani Burchett miała więc rację. Skończyłeś z Ingrid, poszukasz następnej.

- Nic z tych rzeczy.

- Ach, czyli mogę spodziewać się jej powrotu?

- Czemu tak cię to interesuje?

- Ze względu na to. - Wskazała na długą suknię w kolorze czerwonego wina, którą miała na sobie. - Jeśli od tej pory jesteśmy tylko we dwoje, mogę spokojnie przychodzić na kolację w dzinsach.

Kąciki jego ust zadrgały podejrzenie.

- Dzięki za uznanie.

- Nie ma za co.

Nalał szampana do kieliszków.

- Nie rozumiem cię. Myślałem, że kobiety stroją się dla mężczyzn.

- Tylko wtedy, kiedy chcą się komuś spodobać – odparła i nagle poczuła, jakby przeszył ją prąd - to ich palce zetknęły się, gdy Mark podał jej kieliszek. Aby nie dać po sobie nic poznać, rzuciła z udawaną nonszalancją: - A mnie na tym nie zależy.

Czy aby naprawdę jej nie zależało? Czy nie chciała podobać się Markowi? Oczywiście, że nie! No... Może troszeczkę.

- Kobiety ubierają się często dla innych kobiet, oczywiście z zupełnie innych powodów - ciągnęła. - Chodzi o rywalizację, to prawie wojna. Moja matka i siostra celowały w tym, a ja tego nienawidziłam. Czy możemy już iść na ten suflet i kurczaka? Umieram z głodu.

Zaoferował jej ramię.

- Dlaczego zmieniłaś menu?

- Bo nie mam ochoty na przepiórki.

- Ja akurat je lubię.

- Skoro upierasz się, żebym tu rządziła, to będziesz jadł to, co ja chcę. Takie są konsekwencje.

- Zaprowadzasz rządy twardej ręki...

- Aha - przytaknęła wesoło, coraz bardziej ucieszona nieobecnością Ingrid.



Cóż to była za kolacja! Suflet z łososia, kurczak w maladze, tarta pigwowa, a na deser absolutnie niebiańskie bezy, dosłownie rozplývające się w ustach. Tammy nigdy nie próbowała takich pyszności. Tak przyrządzonego kurczaka mogłaby jeść nawet co wieczór i nieprędko by się jej znudził.

I to otoczenie... Ogromna jadalnia na kilkadziesiąt osób, pozłacane sztukaterie na ścianach i suficie, paśowe draperie, marmurowy kominek, portrety dostojnych przodków, świece, kryształy, srebra, wyrafinowana kompozycja z kwiatów i owoców na rzeźbionym kredensie... Wszystko to mogło wywrzeć piorunujące wrażenie na kimś takim jak ona. Przeniosła spojrzenie na Marka i natychmiast pomyślała, że żaden splendor i bogactwo nie są w stanie wywrzeć na niej większego wrażenia niż ten mężczyzna. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by wstrzymywała oddech. Zwłaszcza, gdy się uśmiechał...

Tak, jak teraz.

- O czym myślisz? - zagadnął.  
- O tym, co się stało z tymi przepiórkami, które mieliśmy zjeść - skłamała na poczekaniu.  
- Dlaczego?  
- Bo lubię przepiórki. Nie w sensie kulinarnym. Lubię je żywe. Jak byłam mała, znalazłam jedną, a właściwie jednego, poranionego i bez skrzydła. Zaopiekowałam się nim, nazywałam go Piórek. Teraz mam do nich sentyment.

- Nie chcesz więc jeść krewnych Piórka?

- Wolałabym nie. Nawet jeśli ty miałbyś na to wielką ochotę.

Mark uśmiechnął się, odstawił filiżankę po kawie, podniósł się z za stołu i podszedł do Tammy, by odsunąć jej krzesło. Znowu nie wiedziała, jak się zachować. Nikt nigdy nie odsuwał jej krzesła, bo i po co? Skoro łązi po drzewach, to chyba potrafi bez pomocy wstać od stołu?

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że ta właściwie absurdalna grzeczność była całkiem przyjemna... Nawet bardzo, ponieważ dzięki temu Mark znalazł się tuż przy niej. Jego dłoń niechcący musnęła jej nagie ramię, a suknia zaszeleściła, ocierając się o jego spodnie... Zrobiło się jej gorąco.

- Nie musisz myśleć o tym, na co ja miałbym ochotę - odparł. - Od jutra będziesz jadać sama, ja wracam do domu.

A ten znowu swoje! W jednej chwili ogarnęła ją zimna furia.

- W Australii nawet słowem nie zająknałeś się na ten temat. Celowo wprowadziłeś mnie w błąd.

- Wcale nie. Planowałem zamieszkać tu z Henrym, ale wszystko się zmieniło.

- Co się zmieniło?

- Ty. - Przyglądał się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Ty - powtórzył. - I ja.

- Nie rozumiem - szepnęła, próbując zyskać na czasie.

Myślała z największym trudem i ledwo oddychała, ponieważ Mark wciąż stał tuż przy niej.

- Sama powiedziałaś, że nie możesz mieszkać ze mną pod jednym dachem.

Niechże on się odsunie, bo ona naprawdę nie może się skupić na tym, o czym rozmawiają! Stał zdecydowanie za blisko!

- Bo to prawda. Potrzebuję własnej przestrzeni życiowej.

- Ja też!

- Idźmy więc na kompromis - zaproponowała. - Przerobię część mojego skrzydła zamku na własne, niezależne mieszkanie.

- Nie ma takiej potrzeby, bo i tak tu nie zostanę. Nie cierpię tego miejsca.

Chyba sobie kpił! I to miał być sensowny powód?

- I dlatego przerzucasz na mnie taką odpowiedzialność? Przyjechałam zajmować się Henrym, a nie jakimś zakichanym zamkiem w jakimś zakichanym królestwie!

- Księżtwe.

Aż ją zatkało.

- No wiesz! Ja mówię o poważnych rzeczach, a ty się bawisz w niuanse znaczeniowe. -  
Stali twarzą w twarz, a dzielące ich powietrze zdawało się aż gęste od emocji.  
- Skoro nie wprowadziłeś mnie w błąd i naprawdę zamierzałeś tu zamieszkać, to czemu nagle zmieniłeś zdanie? I skąd ten pośpiech? Czemu chcesz wyjeżdżać już jutro? O co w tym wszystkim chodzi?!

- O nic. Po prostu wracam do siebie.

Miała wrażenie, jakby rzucała grochem o ścianę. Upór Marka był równie silny jak niezrozumiały

- Przestań to w kółko powtarzać! Czemu tak bardzo chcesz uciec z tego zamku? Duchy tu są, czy jak?

- Nie bądź śmieszna. Nie boję się duchów.

- Więc czego się boisz?

Zacisnął zęby.

- Niczego - wycedził.

- Mark, w tym wszystkim nie ma nawet grama sensu! W Australii planowaliśmy to inaczej, a ty teraz nagle chcesz jak najszybciej stąd wyjechać. Dlaczego?

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu. Wydawało się, jakby cały świat zamarł w bezruchu, czekając na odpowiedź Marka.

Dlaczego?

Nie wiedział, co powiedzieć, czuł się przyparty do muru. Tammy wytrąciła mu z ręki wszelkie racjonalne argumenty, a teraz patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Jej skóra zaróżowiła się od emocji, pierś unosiła się w szybkim oddechu, ciemne loki opadały na nagie ramiona...

To było ponad jego siły.

Owszem, dał słowo, ale... Ale była zbyt piękna, zbyt niezwykła.

Chwyił ją w objęcia i pocałował.

Nie mógł w to uwierzyć. To się stało samo. I nie miało najmniejszego sensu.

A odkąd pożądanie kieruje się sensem lub logiką? Mark przyciągnął Tammy do siebie z żarliwą pasją, całował chciwie i nie dbał już o nic. Potrzebował jej tak jak powietrza. Była jego prawdziwym domem, jego sercem, jego życiem. Wszystkim.

A ona... A ona odpowiedziała na pocałunek! I to z taką samą namiętnością!

Mark nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Ta niezwykła kobieta pragnęła go również, otaczały go jej ramiona, jej wargi były gorące i stęsknione jego pieśczęty.

I nagle zrozumiał, że znalazł swoją drugą połowę. To właśnie jej brakowało mu do szczęścia. Właśnie jej - dzielnej, niezależnej, spontanicznej, bosej, dziko upartej. Właśnie jej - wrażliwej, oddanej Henry'emu, kruszącej pancierz, jaki otaczał jego poranione serce.

Przez całą kolację pragnął jej do szaleństwa. Gorzej. Pragnął jej przez cały dzień. A może to zaczęło się już dużo wcześniej? Może w samolocie? A może jeszcze w dalekiej Australii?

Przypomniał sobie jej uśmiech, gdy podniósł głowę i ujrzał ją wysoko, wśród gałęzi. Tak, to musiało zacząć się wtedy.

Nie przypuszczał, że ona też go pragnie, nie spodziewał się tak płomiennej reakcji. Tammy przylgnęła do niego całym ciałem, rozpalając w nim taki płomień pożądania, jakiego nie czuł jeszcze nigdy. Był jak odurzony.

Ich pocałunki stały się gorące, zachłanne, niecierpliwe. Dłonie Marka nie wiadomo jak i kiedy zsunęły się na ciepłe, krągłe piersi dziewczyny.

Och, Tammy, jęknął w myślach z zachwytem, a może nie tylko w myślach, może jęknął na głos, niczego nie był już pewien.

Poczuł, jak jej ruchliwe dłonie równie gorączkowo wyszarpują mu koszulę ze spodni, by móc bez przeszkód dotykać jego muskularnych pleców. Oszalała go świadomość, że ona

również zachowywała się tak, jakby wreszcie znalazła swojego życiowego partnera. To niesamowite. Nie mógł w to uwierzyć. Teraz już nie było odwrotu, już nie miałby siły się wycofać. Przez cały ten dzień trzymał się mocno w karbach, powtarzając sobie, że jeszcze tylko jeden wieczór i uda mu się uciec przed pokusą. Ale wystarczył jeden jej dotyk, by uleciało całe opanowanie, a wypracowana przez lata żelazna samokontrola znikła bez śladu.

Serce waliło mu jak szalone, krew aż dudniła w uszach. Nie, to co innego... Przez dłuższą chwilę Mark nie mógł zrozumieć, co się dzieje, wreszcie do jego półprzytomnego umysłu przebiła się myśl, że to nie krew tak dudni, tylko ktoś puka do drzwi.

Nie był w stanie pojąć, jakim cudem udało mu się wypuścić Tammy z objęć i odsunąć na przyzwoitą odległość. Wymagało to niemal nadludzkiego wysiłku z jego strony. Czuł się tak, jakby ktoś wydarł mu pół serca.

W jej oczach mógł wyczytać dokładnie to samo.

- Tammy, ja...

- Wiem - wyszeptła z trudem i położyła doń na drżących ustach, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą działo. - Wcale tego nie chciałeś.

- Nie, ja...

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Mark odetchnął głęboko.

- Proszę!

Do jadalni zajrzała pani Burchett, wyraźnie zaciekawiona, czemu nie poproszono jej od razu. Jednak wystarczył jej jeden rzut oka na ich twarze, by domyślić się wszystkiego.

- Najmocniej przepraszam, nie chciałam przeszkadzać, ale nie mogę uspokoić panicza. - Ruchem głowy wskazała Henry'ego, którego trzymała na ręku. - Spał całe popołudnie, a niedawno przebudził się i zaczął płakać.

Buzia małego była mokra od łez. Wyciągnął rączki do Tammy, która na ten widok przeżyła potężny wstrząs - kolejny w ciągu zaledwie kilku minut. Henry do tej pory nikogo nie rozpoznawał! Serce podskoczyło jej w piersi z radości.

- Proszę mi go dać - wyszeptła zdławionym głosem i porwała siostrzeńca z rąk ochmistrzyni. - Już dobrze, Henry, już jestem... Właśnie szłam do ciebie. Już dobrze... Zaniosę cię na górę.

- Zostań - odezwał się dziwnym tonem Mark. - Musimy porozmawiać.

Zerknęła na niego. Czuła się rozdarta, ale dziecko miało pierwszeństwo.

- Henry mnie potrzebuje.

- Możesz go utulić tutaj.

- Możemy porozmawiać rano.

- Rano już mnie tu nie będzie.

Tammy zamarła.

- Jak to?!

Ochmistrzyni przenosiła zdumiony wzrok z Tammy na księcia.

- Ale przecież... - zaczęła i ugryzła się w język. - Wasza Wysokość nic nam nie powiedział.

- Ponieważ dopiero przed chwilą podjąłem ostateczną decyzję - warknął, równie zmieszany i wytracony z równowagi jak Tammy.

Naprawdę musiał stąd uciekać, i to jak najprędzej. Byle jak najdalej od niej! To wszystko okazało się znacznie groźniejsze, niż przypuszczał. Mało brakowało, a przepadłby z kretesem. Nawet nie śmiał myśleć, co to wszystko mogło oznaczać.

- Dobranoc - rzucił szorstko i skierował się szybko ku wyjściu.

Gdy mijał Tammy, Henry wyciągnął rączki. Do niego.

Mark stanął jak wryty. Tammy wstrzymała oddech. Henry przywiązał się również do niego! Nie wierzyli własnym oczom!

- Kiedy ja... - zaczął nieswoim głosem Mark.

Tammy nigdy w życiu nie podjęła równie błyskawicznej decyzji. Nim księżę zorientował się, co się święci, podała mu Henry'ego, mając absolutną pewność, że Mark instynktownie weźmie dziecko. Sama cofnęła się szybko.

- Skoro jutro wyjeżdżasz, a Henry chce pobyc z tobą, to do rana ty się nim zaopiekujesz. Ja potrzebuję się wyspać. Pani Burchett, proszę na słówko - Chwyciła ochmistrzynię za rękę i bezceremonialnie wyciągnęła ją za drzwi. - Dobranoc, Wasza Wysokość - rzuciła jeszcze przez ramię i już jej nie było.

Księżę został sam z dzieckiem.

Najpierw był zdumiony ufnością swojego stryjecznego bratanka, a potem musiał zająć się uspokajaniem go. Po jakimś czasie Henry przytulił się spokojnie do jego szerokiej piersi, wyraźnie zadowolony. Dopiero wtedy Mark nacisnął dzwonek, by wezwać służbę.

Nikt się nie zjawiał.

- Chodźmy poszukać Madge - powiedział księżę do Henry'ego.

W kuchni nie było nikogo. Jakby wszystkich nagle wymiotło. Dziwne, zawsze ktoś się tu kręcił. Mark znalazł najbliższy dzwonek i zadzwonił ponownie.

Nadal nikt nie reagował.

- Aż trudno uwierzyć. Czyżby poszli już spać? - zdziwił się, przeszukując kolejne pomieszczenia. - Może tu faktycznie wszyscy kładą się o dziesiątej, a ja wcześniej tego nie zauważyłem?

W odpowiedzi Henry zagulgotał wesoło, uszczęśliwiony fascynującą wyprawą w towarzystwie jednej z dwóch ukochanych osób.

Mark wyszedł do głównego holu i tam spostrzegł leżący na stoliku list, oficjalnie zaadresowany do Jego Wysokości Księcia Marka z Broitenburga.

*Drogi Marku!*

*Właśnie zrozumiałam, że Henry potrzebuje Ciebie tak samo jak mnie. W tej sytuacji byłoby wielką stratą dla wszystkich, gdybyś wyjechał, pozwalając mu zapomnieć o Tobie. Jedynym rozwiązaniem wydaje mi się nasze wspólne rodzicielstwo. Dzisiejszą noc Henry spędzi pod Twoją opieką, jutrzejszą pod moją i tak na zmianę. To nie jest idealne wyjście, ale dla dziecka będzie to lepsze niż nic.*

*Powodzenia, Tammy*

*PS*

*Skoro mam zarządzać zamkiem, poleciłam służbie iść spać.*

Mark stał nieruchomo z listem w ręku tak długo, aż Henry zaczął się niecierpliwić. Chwycił za kartkę, wsadził sobie brzeg do buzi i zaczął ssać. W drugiej łapce ścisnął ukochanego misia i był niezmiernie szczęśliwy.

Mark patrzył na niego z przerażeniem. To było właśnie to, od czego przez całe życie uciekał. Odpowiedzialność. Przywiązanie. Rodzina. Miłość. Czuł się schwyty w pułapkę.

- W porządku, zadbam o ciebie do jutra, ale na tym koniec - powiedział surowo do malca. Henry spróbował wepchnąć mu do ust przezutą papkę. - Dziękuję, jestem już po kolacji. A ty na pewno chcesz spać.

Chłopiec dalej żuł list cioci Tammy i ani trochę nie wyglądał na śpiącego.

- O, jeszcze coś ci jest potrzebne... - mruknął Mark. - Chodź, pójdziemy po pieluszki.

Pomyślał, że jeśli Tammy nie śpi, podrzuci jej dziecko z powrotem. A nawet jeżeli już zasnęła, to przecież może się obudzić, prawda?

- Dobrze jej tak, niech ma nauczkę - mamrotał pod nosem, wspinając się po schodach. - Co ona sobie właściwie myśli? Że może rządzić moim życiem?

Drzwi między pokojem dziecięcym a sypialnią Tammy były jak zwykle otwarte na oścież. Mark zerknął w stronę łóżka. Było starannie zasiane. Na pobliskim krześle leżała bordowa suknia. W pokoju nie było nikogo. Wyglądało na to, że Tammy przebrała się w swoje ubranie i dokądś poszła...

Ale dokąd? Chciał jej szukać, ale przecież nie mógł zostawić Henry'ego. Mogła się schować wszędzie. W części przeznaczony dla służby. W jednej z ponad trzydziestu gościnnych sypialni. Na jednym z niezliczonych drzew rosnących wokół zamku. Nie miał szans na znalezienie jej.

Nie pozostawało mu nic innego, jak zejść, obudzić którąś ze służących i polecić jej, by zrobiła przy dziecku, co konieczne.

Już miał tak uczynić, gdy pomyślał, że pewnie właśnie tego Tammy się po nim spodziewała - wykręcenia się od odpowiedzialności. O, niedoczekanie!

Zacisnął powieki, zebrał się w sobie i z determinacją spojrzął na stryjecznego bratanka.

- Potrafię zmienić pieluszkę - powiedział przez zaciśnięte zęby. - To z pewnością nie przekracza moich możliwości.

Zaniósł malca na stolik do przewijania, a kiedy uwolnił go od tego, co zaczynało już dziecku mocno przeszkadzać, Henry rozpromienił się i zagulgotał radośnie. I w tym momencie Mark przeraził się nie na żarty - przemknęło mu przez głowę, że chyba kocha tego berbecia.

Nic gorszego nie mogło mu się przydarzyć. Owładnęło nim przemożne pragnienie, by natychmiast zbiec na dół, znaleźć kogokolwiek, na siłę wcisnąć mu dziecko, a samemu uciekać, gdzie oczy poniosą. Jak najdalej od niechcianej odpowiedzialności! Niechciana odpowiedzialność zaczęła fikać nóżkami, a jej oczka śmiały się wesoło do Marka. Coś go ścisnęło w gardle.

Tak, jak umiał najlepiej, założył nową pieluszkę i zapiął ją - może trochę krzywo, ale jakos się trzymała. Wziął Henry'ego na ręce i zaniósł do swojej komnaty. I ani na moment nie przestał się zastanawiać, gdzie też podziewa się Tammy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To była długa noc.

Mark musiałby długo szukać Tammy. Zaszyła się w takim miejscu, o którym nigdy by nie pomyślał. Wreszcie czuła się jak u siebie.

Zapomniał, że miała w plecaku namiot. Rozbiła go w zacisznym zakątku zamkowego parku i gdy Mark walczył z pieluszką, ona już leżała jak w kokonie w swoim śpiworze. Nie spała. Zostawiła poły namiotu uniesione i patrzyła na gwiazdy. Tutaj nawet niebo było inne. Nie rozpoznawała gwiazdozbiorów. Wszystko wydawało się stać na głowie.

Właśnie, wszystko stanęło na głowie. Nic dziwnego, w końcu przyjechała z antypodów...

Wciąż była wytrącona z równowagi tym pocałunkiem. A przecież matka ją ostrzegała, że Mark to kobieciarz. Na szczęście nie doszło do niczego więcej.

- Na szczęście? - powtórzyła powątpiewająco.

Mogła spokojnie mówić do siebie na głos, ponieważ rozbiła namiot daleko od zamku. Nikt jej tu nie mógł podsłuchać.

- Oczywiście, że na szczęście - odpowiedziała sobie.

- Chyba upadłaś na głowę! Ledwo pozbył się Ingrid i zaraz znajdzie kolejną lalę ze swojej sfery. Chcesz w tej krótkiej przerwie trafić do jego łóżka?

Czemu nie?

- Tamsin Dexter! - huknęła sama na siebie zgorzonym tonem.

Chyba zwariowała. Gadała do siebie po nocy w pustym parku, fantazjując na temat

kapitalnego faceta. Pewnie za długo była sama.

Ciekawe, jak ten jej kapitalny facet radził sobie z Hen-rym. Czy nie musiał go aby przewinać?

- To nie twoja sprawa. Przestań gadać i śpij wreszcie.

Mogłabym się zakraść i sprawdzić...

- I dać się złapać! A wiesz, co wtedy będzie. Służba w łózkach, Henry też niedługo zaśnie, zostaniesz sama z Jego Wysokością księciem regentem.

Właśnie...

- Nie, to nie jest dobry pomysł. - Stanowczo zasunęła suwak od śpiwora. - To jest pomysł bardzo zły.

Skoro tak, to czemu ją korciło, by natychmiast wprowadzić go w życie?

Gdzie ona mogła być?

Henry wyspał się w ciągu dnia i chciał się bawić, więc Mark zabrał go do łóżka, włączył laptop i zaczął pracować nad projektem sieci kanałów nawadniających. O ile można to było nazwać pracą... Henry nieustannie domagał się uwagi, więc jeśli przez całe trzydzieści sekund nic nowego się nie działo, próbował temu zaradzić. System kanałów na monitorze rychło zaczął przypominać sieć utkaną przez bardzo pijanego pajaka.

- No i jak rolnicy z południa Broitenburga będą nawadniać swoje pola? - zwrócił się Mark do bratanka.

Henry pacnął piąstką w klawiaturę. Symulacja ukazała, jak kanały skracają na północ.

- Aha. W ten sposób wyślemy wodę z rejonów zagrożonych suszą w rejony zagrożone powodzią. Myślisz, że to dobry pomysł?

Henry wyglądał na zadowolonego.

- A gdzie jest twoja ciocia?

Henry zaczął wymachiwać misiem. Chyba w tej chwili nie dbał zanadto o ciocię. Właściwie nie musiał, ponieważ Mark martwił się za dwóch.

- Gdzie ona może być? - powtórzył po raz setny, patrząc na zegarek. Wpół do trzeciej. - Lepiej, żeby rano się zjawiała, bo jak nie...

Sęk w tym, że do rana było daleko, a on potrzebował jej teraz, zaraz, natychmiast!

Obudziła się o świcie. Ponieważ wołała, by nikt jej tu nie znalazł, wstała, zwinęła szybko namiot i wróciła do zamku. Przed wejściem zawahała się. Poleciała służbie nie wychodzić z pokojów przed siódmą. Trochę szkoda, bo teraz ktoś mógłby zanieść Markowi gorącą herbatę. Pewnie chętnie by się napił. Nonsens, jeśli Henry przez całą noc nie dał mu zasnąć, to Mark potrzebuje paru godzin snu, a nie gorącej herbaty. Nie należy mu przeszkadzać.

Poszła do kuchni i zrobiła sobie śniadanie, ale myśl o tym, że być może on nie śpi, nie dawała jej spokoju.

- Może on też czegoś potrzebuje? Powinnam do niego zajrzeć. Zasłużył sobie na to całonocną opieką nad Henrym - przekonywała samą siebie.

Pokusa okazała się zbyt silna. Tammy zaparzyła świeżej herbaty, przygotowała tosty z dżemem i ustawiła wszystko na tacy. Odetchnęła głęboko. - No, to idę.

Spali obaj jak zabici.

Gdy nikt nie odpowiedział na pukanie, uchyliła drzwi, a jej wzrok padł na łóżko. Ani mały, ani duży książkę nawet się nie poruszyli.

Mark leżał na wznak, przykryty jedynie do połowy, z obnażonym torsem. Musiał pracować, gdy zmorzył go sen, ponieważ obok niego stał otwarty laptop, wciąż włączony, a na niebieskim ekranie jarzyły się jakieś poplątane kreski. Henry zwinął się w kłębek pod ramieniem stryjka i spał słodko jak aniołek. Widać było, że czuł się dobrze i bezpiecznie.

Tammy znieruchomiała w progu, a w gardle coś ją ścisnęło. Nie powinna była na nich

patrzeć, powinna się wycofać, i to jak najprędzej - a przecież za nic w świecie nie była w stanie oderwać od nich wzroku.

Mark, i tak wysoki i barczysty, wydawał się jej teraz jeszcze potężniejszy. Widziała pięknie zarysowane mięśnie na klatce piersiowej i ramionach. Jakież on musiał być silny! Rzeźczywiście, przy kimś takim Henry mógł spać spokojnie...

I nagle dotarło do niej, że oni obaj pasują i do tego miejsca, i do siebie nawzajem. To ona tu nie pasowała.

Przybyła z Australii, by opiekować się swoim malutkim siostrzeńcem, ale wcale nie było takiej potrzeby. Mark miał rację. Naprawdę mógł mu zapewnić wszystko. Gdy tylko nauczy się go kochać, Henry będzie mógł szczęśliwie dorastać pod jego okiem.

Łzy zakreśliły się jej pod powiekami.

Chciała wycofać się cicho, lecz nagle Mark otworzył oczy i spojrzał prosto na nią. Przez długą, długą chwilę patrzyli na siebie, a między nimi działo się coś...

- Nie wychodź - poprosił, odrzucił kołdrę i podszedł do niej.

Taca zadrżała w jej rękach. Był tuż obok, potężny, męski i prawie kompletnie nagi! Miał na sobie tylko bokserki. Nogi się pod nią ugięły. I jeszcze te głupie łzy...

Wyjął z jej rąk przechylającą się tacę.

- Zrobiłaś mi śniadanie? - spytał, zaskoczony i rozbawiony. - Ach, chciałaś mi jakoś wynagrodzić to, że tak mnie porzuciłaś wczoraj?

- Właściwie chciałam tylko sprawdzić, co z Henrym. - Jej głos brzmiał dziwnie, ciągle coś ją dławiło w gardle.

Mark delikatnie dotknął wilgotnego policzka Tammy. Spoważniał.

- Płakałaś?

Gniewnie otarła twarz dłonią.

- Nie. Czemu miałabym płakać?

- Właśnie o to pytam.

- Nie płakałam.

Przyglądał się jej uważnie. Jej oczy nadal były podejrzenie mokre.

- Co ci jest?

- Nic. Chcę się upewnić, co z Henrym, to wszystko - powtórzyła.

Na jej twarzy malowała się determinacja. No tak, uparła się i nie zdradzi mu prawdy. Mark westchnął w duchu i wskazał ręką na łóżko.

- Jak widzisz, śpi jak suszeł i pewnie pośpi jeszcze długo, wzięwszy pod uwagę, o której wreszcie zasnął.

- Tak późno?

- Późno? Raczej wcześniej. Zasnął jakieś dwie godziny temu. Ledwo już widziałem na oczy. - Uśmiechnął się. - Do licha, Tam. To nie dla mnie robota.

Mało brakowało, by ją przekonał. Ten uśmiech, to ujmujące zdrobnienie jej imienia... A jednak nie mogła ulec pokusie. W Australii zdawało się jej, że chłopiec ma tylko ją, a tymczasem Henry i Mark potrzebowali się nawzajem - teraz wiedziała to z całą pewnością.

Kochała siostrzeńca całym sercem, odkąd go ujrzała. Zrobiłaby dla niego wszystko. Wszystko, co będzie dla niego najlepsze. Nawet gdyby miało to oznaczać, że sama musi go utracić...

- Poddajesz się, bo się nie wyspałeś? Trudno, ale to normalne, gdy zajmujesz się dzieckiem. Dziś w nocy moja kolej.

- No, to możesz go zabrać. - Mark podszedł z tacą do łóżka i postawił ją na nocnym stoliku.

Tammy nie mogła oderwać wzroku od jego ciała. Czy on nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie wrażenie robi na niej taki widok? Chyba nie, ponieważ odwrócił się do niej swobodnie i znowu posłał jej zabójczy uśmiech. Musiała zmobilizować wszystkie siły, by nie ulec jego

zniewalającemu czarowi.

- Nie.

- Słucham?

- Skoro dzielimy się opieką, to niech to będzie sprawiedliwy podział, również ze względu na dobro Henry'ego, który będzie mógł spędzić tyle samo czasu z tobą, co ze mną. Moim zdaniem najlepszy będzie rytm dobowy. Dlatego do kolacji zostanie z tobą, a potem ja się nim zajmę.

- Ale...

- Ale co? - spytała złowieszczym tonem. - Ile razy powtarzałeś mi, że możesz mi zapewnić najlepszą opiekę i że umiesz się nim zająć? To jest dokładnie to, czego chciałeś.

Westchnął ciężko i z desperacją wzburzył włosy dłonią.

- Myślałem o oddaniu go pod opiekę pani Burchett...

- Jasne, tak jest najłatwiej, Na tym polega rządzenie, prawda? Całą robotę zwała się na innych.

- Nic na nikogo nie zwałam!

- To zajmij się Henrym, bo przywiązał się do ciebie, a nie do pani Burchett.

- A ty?

- Ja zrobiłam ci śniadanie, i to ci powinno wystarczyć.

- Zdobyła się na uśmiech, choć w rzeczywistości nadal zbierało się jej na płacz. - A teraz idę zająć się drzewami.

Nie tylko ty masz swoją ukochaną pracę. - Wskazała na wciąż włączony laptop. - Swoją drogą, ciekawy system nawadniający. Nie znam się na geografii, ale coś mi się zdaje, że w zaprojektowanych przez ciebie kanałach woda płynie z nizin w góry. Świetny z ciebie inżynier! - Z tymi słowami obróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając kompletnie zaskoczonego Marka z Henrym.

Zjadł śniadanie, stojąc w oknie, by móc odprowadzić wzrokiem Tammy. Szła w stronę najbliższego zagajnika sprężystym krokiem i nawet się nie obejrzała. Na ramieniu niosła piłę łańcuchową.

Przecież to dla niej za ciężkie, zatroskał się Mark. Ona jest taka drobna...

Spróbował sobie wyobrazić Ingrid, jak taszczy piłę łańcuchową i aż parsknął śmiechem. Co za absurd! Tymczasem Tammy nigdy nie sprawiała komicznego wrażenia, cokolwiek robiła. Teraz wyglądała na osobę wolną i szczęśliwą, która idzie do swoich zadań i nie zawraca sobie głowy niczym innym.

Obarczyła go opieką nad dzieckiem i wcale się tym nie przejmowała! Szła robić to, co lubiła, jakby w ogóle nie pamiętała już o Marku. A on stał w oknie i patrzył za nią... Gdy znikła między drzewami, poczuł dotkliwą pustkę.

Nie umiał sobie z tym wszystkim poradzić. Nie miał doświadczenia z kobietami, które noszą piły łańcuchowe i chodzą po drzewach. Z kobietami, które zostawiają księcia z mokrymi pieluchami niemowlaka. Z kobietami, które powodują, że człowiek częściej się uśmiecha.

Nie miał doświadczenia z takimi kobietami jak Tammy.

Ponieważ takie kobiety nie istniały. Tammy była jedna jedyna.

Chciał ją znowu zobaczyć. Mógłby w ciągu dnia zabrać Henry'ego na spacer i niby przypadkiem zajść do lasu. Zobaczyłby, co ona robi...

Nic z tego, przecież zaraz wyjeżdża. Wraca do siebie.

Hm...

Zawahał się i zerknął na bratanka. Henry spał smacznie, nieświadomy burz, jakie przetaczały się nad jego głową. Mark wrzucił się głęboko. Po raz pierwszy w życiu tego



malca ktoś się z nim bawił, ktoś się do niego uśmiechał, ktoś go kochał. Henry po raz pierwszy musiał czuć się szczęśliwy i bezpieczny.

Delikatnie dotknął maleńkiej piąstki, a chłopczyk przez sen zacisnął łapkę na jego palcu. Równie dobrze ktoś mógłby ogłuszyć Marka ciosem między oczy - efekt byłby niemal tak samo wstrząsający. Na moment odjęło mu oddech.

Henry go kochał i potrzebował. Nie było mowy o żadnym wyjeździe. Teoretycznie Mark mógłby poprosić Madge o opiekę nad chłopcem, czuł jednak, że nie ma siły tego zrobić. Nie mógłby zawieść Henry'ego. Ale przecież wcale nie zależało mu na tym, żeby bratanek tak się do niego przywiązał! Wcale tego nie chciał!

A czego chciał?

Tammy.

Z rozpaczą zacisnął powieki. Zaraz zwariuje. Powinien stąd uciekać, ale już nie mógł. Chciał kobiety, która właśnie siedziała na drzewie z piłą łańcuchową i miała go w nosie. Dostyc tego, wyjeżdża!

Zerknął na zaciśnięte malutkie paluszki. Wyjeżdża, akurat! Dobrze, zostanie, jednak przez cały dzień będzie trzymał się z dala od lasu. Nie pójdzie jej szukać. Ma swoją dumę i jeśli ona myśli...

Kiedy nie wyglądało na to, żeby ona o nim myślała! Jego tytuł, władza i pieniądze nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Nie próbowała go sobą zainteresować. Nawet nie chciało się jej ładnie ubrać ze względu na niego! Owszem, dwa razy zrobiła się na bóstwo, ale tylko po to, by Ingrid nie traktowała jej z wyższością. Nie przyszło jej do głowy stroić się dla Marka i nawet się z tym nie kryła.

Czy w ogóle zauważała, że był mężczyzną?

Z całą pewnością tak, świadczył o tym tamten pocałunek. Odpowiedziała na jego pieszczotę, a jemu prawie odjęło rozum z pożądania... Jęknął na samo wspomnienie.

Podjął decyzję. Wieczorem przekaze Henry'ego Tammy, jakoś ją namówi, by od tej pory zajmowała się nim sama i natychmiast wyjedzie do Renouys. Nie może żyć z tą kobietą pod jednym dachem. Oszałeje od tego.

Dzień dłużył mu się w nieskończoność. Wielokrotnie odczuwał pokusę zadzwonienia na służbę, ale za każdym razem coś go powstrzymywało przed pozbyciem się kłopotu i oddaniem Henry'ego w ręce ochmistrzyni. Może była to myśl o dezaprobacie Tammy, a może fakt, że chłopczyk zaczynał reagować śmiechem, gdy Mark próbował go rozbawiać. Reakcja dziecka sprawiała mu ogromną przyjemność, choć nie potrafił wytłumaczyć sobie dlaczego. To wszystko było dla niego nowe i obce, stąpał po nieznanym terytorium.

Tammy nie wróciła na lunch. Zaniepokoił się, lecz Madge wyjaśniła mu, że panna Dexter wzięła ze sobą prowiant na cały dzień. Myśl, by pójść i sprawdzić, jak ona daje sobie radę, powróciła ze zdwojoną siłą.

Wyszedł z Henrym na dwór, starał się jednak trzymać jak najdalej od zagajnika. Spacerował z malcem na rękach nad jeziorem i ku swemu własnemu zdziwieniu mówił do niego tak, jakby niemowlę mogło go zrozumieć:

- Któregoś dnia odziedziczysz to wszystko. Spójrz, to twoje. To wielka odpowiedzialność, ale też i wielka radość.

Nagle dotarło do niego, co powiedział. Radość... Aż przystanął z wrażenia. Do tej pory autentycznie nie cierpiał tego miejsca, ale tego dnia wydało mu się ono odmienione. Rozejrzał się dookoła z niekłamanym zachwytem i zrozumiał, że zaczyna patrzeć na świat oczami Tammy.

Bezwiednie ruszył w stronę brzoź, wśród których rano stracił ją z oczu.

- A tam jest twoja ciocia... - zaczął.

Uświadomił sobie, co robi. Nie. Nic dobrego ^ tego nie wyniknie. Zmusił się, by zawrócić

do zamku.

Koło piątej po południu Henry wreszcie zasnął, zmęczony spacerem i zabawą, nakarmiony. Tammy miała zjawić się o siódmej, do tej pory chłopczyk nie obudził się z pewnością. W tej sytuacji Mark mógł spokojnie zostawić go pod opieką ochmistrzyni i wracać do domu. W końcu wywiązał się ze swojego zadania.

Ale skoro zamierzał pracować, to właściwie prościej było wygodnie ułożyć się z laptopem w wielkim łóżku, w którym spał Henry, niż jechać do Renouys...

Okazało się jednak, że w tych warunkach praca nie idzie zbyt sprawnie. Jego spojrzenie ciągle biegło ku bratankowi, a jego myśli ku Tammy. A potem zrobiło się za późno na wyjazd, ponieważ zjawił się Dominik i oznajmił:

- Wasza Wysokość, kolacja zostanie podana za dziesięć minut. Panienska Tammy czeka już w salonie. Rozpaliłem w kominku.

Miała na sobie dżinsy.

Poczuł się zawiedzony. Przyzwyczał się do tego, że na kolacji zjawiała się w jednej z pięknych kreacji siostry.

- Nie jestem księżniczką - odezwała się, spoglądając na niego, kiedy przystanął w drzwiach salonu, ubrany w elegancki wieczorowy garnitur.

- Słucham?

- Twoim zdaniem nie jestem odpowiednio ubrana.

Spłoszył się nieco. Czyżby czytała w jego myślach?

- Nie wiem, o czym mówisz - wykręcił się.

Uśmiechnęła się tylko, po czym spoważniała, widząc ciemne sińce pod jego oczami.

- Ty chyba w ogóle nie spałeś? - spytała z troską.

Zdumiał się.

- Jak mogłem spać? Przecież zostawiłaś mnie samego z dzieckiem, musiałem pilnować...

- Trzeba łapać trochę snu, kiedy tylko można, inaczej człowiek nie da sobie rady - wyjaśniła. - Z czasem się tego nauczysz. Jutro odeśpisz, ale pojutrze radzę się nastawić na krótkie drzemki w ciągu dnia.

- Nie ma mowy! - Zdecydowanie podszedł do niej i mocno chwycił ją za ramiona. Musiał przemówić jej do rozsądku. - Zrozum, cały ten twój plan jest bez sensu.

Tym razem nie zamierzała pozwolić, by jego bliskość wytrąciła ją z równowagi. Spokojnie spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego? To jedyne sensowne wyjście z sytuacji.

- Przyjechałaś zajmować się siostrzeńcem... - zaczął, lecz weszła mu w słowo:

- Przyjechałam dopilnować, by był szczęśliwy. Przekonałam się, że Henry cię potrzebuje, a ty rzeczywiście potrafisz się nim zająć. Potrzebuje miłości, a ty mu ją dasz.

- Ja? Ale ja go wcale nie kocham!

- Nie? - Zaśmiała się cichutko. - Nawet jeśli jeszcze nie, to jesteś na najlepszej drodze. Nie miałaś serca go zostawić. Wiem o wszystkim, co robiłeś, znam każdy twój krok. Każdy...

- Jakim cudem?!

- Mam swoich informatorów... Nie potrafiłaś zostawić Henry'ego nawet wtedy, gdy zasnął. Nie mogłaś znieść myśli, że go zawiedziesz, jeśli się przypadkiem obudzi, a ciebie nie będzie, prawda? Do tej pory broniłaś się przed miłością. Wolisz się do nikogo nie przywiązywać. Zmieniasz kobiety jak rękawiczki. Ale z Henrym jest inaczej. Jego nie możesz rzucić z lęku czy niechęci przed uwikłaniem się w coś po ważniejszego. Dlatego on cię wyleczy z uciekania przed uczuciem. Nie możesz przez całe życie uciekać.

Mark oniemiał na dobrą chwilę.

- A czy tobie nie przyszło do głowy, że ja wcale nie chcę się zmieniać? Jest mi dobrze tak, jak jest.

- Taak? Nie chcesz kochać?

- Nie!
- I nie chcesz być kochany?
- Nie!
- I nie dostałeś fioła na punkcie swojego małego bratanka?
- Nie!
- Łżesz, aż się kurzy - skwitowała spokojnie.

Mark wciąż zaciskał dłonie na jej ramionach. Dzielili ich centymetry, lecz Tammy patrzyła na niego z takim opanowaniem, jakby znajdowała się w przeciwległym kącie pokoju. Dla dobra dziecka nie mogła ulegać emocjom. Zdradzały ją jedynie rumieńce na policzkach.

- Nie pozwolę ci się wycofać - oznajmiła. – Potrzebuję twojej pomocy. Wychowałam moją siostrę praktycznie samodzielnie, a ona odwróciła się ode mnie i złamała mi serce. Gdzieś popełniłam błąd. To samo mogłoby się przydarzyć, gdybym samodzielnie wychowywała Henry'ego. Tym razem wolę się zabezpieczyć. Przyglądał się jej badawczo.

- Ty się boisz! - odkrył nagle.

Tammy drgnęła, lecz nie odwróciła wzroku.

- Tak - przyznała. - Tak samo jak ty boję się ryzyka związanego z budowaniem relacji z drugą osobą. Ale ja przynajmniej się do tego przyznaję i próbuję coś z tym zrobić!

- Zmuszając mnie...

- Nikt cię do tego nie zmusza, oprócz twojego własnego serca. Mogłeś dziś sto razy odejść, zostawiając Henry'ego z panią Burchett. Kto ci bronił?

,- Ty! - odparł impulsywnie.

- Ja? - Zaśmiała się tym swoim perlistym śmiechem, który lubił coraz bardziej.

- Tak, ty! Jesteś niemożliwa! W życiu nie spotkałem kobiety równie upartej, nieobliczalnej, nieodpowiednio ubranej...

- O, przepraszam! Ubieram się całkiem odpowiednio. Tyle tylko, że to miejsce nie jest odpowiednie dla mnie.

Zirytował się.

- Owszem, jest! To, że mówisz potoczną angielszczyzną i chodzisz po drzewach, nie ma nic do rzeczy. Jesteś najbliższą krewną księcia.

- Ale samą księżną nie jestem. Jeśli odczuwasz brak takiej kobiety, zaproś z powrotem Ingrid. Aż ją skreca...

- Ingrid? Niech idzie do diabła! - wybuchnął.

- Aż tak źle to jej nie życzę - powiedziała powoli Tammy. - Po co miałabym to robić?

Zapadła cisza, a panujące między nimi napięcie stało się nie do zniesienia. Dawno już minęła pora rozpoczęcia kolacji, lecz do salonu nikt nie wchodził. Dominik czekał za zamkniętymi drzwiami, przyklejając do nich ucho, co oczywiście było poniżej godności głównego kamerdynera - ale czego się nie robi dla dobra sprawy? Za nic w świecie nie wszedłby teraz do środka i nie przerwałby rozmowy.

Teoretycznie nie było czego przerywać, ponieważ za drzwiami panowało milczenie.

Tammy wpatrywała się w Marka błyszczącymi oczami, oczekując odpowiedzi na swoje pytanie, a on nie znajdował słów.

Faktycznie, czemu miałaby źle życzyć Ingrid albo jakiegokolwiek innej kobiecie? Żadna nie mogła z nią rywalizować, żadna nie mogła się z nią równać, pomyślał.

Uświadomił sobie, że wciąż trzyma ją za ramiona, a Tammy wcale nie próbuje odsunąć się od niego.

W końcu był tylko człowiekiem... Mężczyzną.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oczywiście pocałował ją z powodu furii, a nie z namiętności. Chciał ją ukarać i udowodnić jej, że nie powinni mieszkać razem, wychowując Henry'ego na zmianę, ponieważ to nie może się udać. Przez nią! To ona doprowadza go do szaleństwa. Jej uśmiech, jej zapach, jej bliskość... Tak zachwycająca istota tuż pod ręką i niedostępna!

Granica między miłością a nienawiścią czasem wydaje się tak cienka... Jeszcze przed paroma godzinami Mark nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ tak ekstremalne uczucia były mu obce. W ogóle uczucia były mu obce. Zawsze nad sobą panował i nigdy nie pozwalał, by rzeczy wymknęły mu się spod kontroli.

Jednak w tej chwili nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Targały nim namiętności, których nie rozpoznawał. Miał wrażenie, jakby grunt usuwał mu się spod nóg, a cały dotychczasowy świat walił się w gruzy. I nic już nie było pewne, oprócz tego, że trzyma Tammy w ramionach, a ona poddaje się chętnie, jej piersi przylegają do jego torsu, jej usta rozchylają się jak płatki róży...

Ta kobieta była jego połową - jego brakującą połową. Do tej pory nie miał o tym pojęcia, ale teraz stało się dla niego zupełnie jasne, że sam nie stanowił całości, dopiero z nią... Ta świadomość odmieniała wszystko.

Tammy doświadczała czegoś równie zdumiewającego. Nie mogłaby przestać z zapamiętaniem całować Marka, nawet gdyby chciała - a wcale nie chciała. Jak mogłaby chcieć, skoro nagle wydało się jej to najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem? Rozsądek mówił co innego, lecz Tammy nie słyszała już jego głosu, porwana w wir szalonych emocji. Miała wrażenie, że wkracza w nowe życie, którego źródło ukryte jest w ciele Marka.

Nagle przypomniał się jej werset z Szekspira: I tak mam odejść bez zaspokojenia?

Zaspokojenie... Tak, to się musi stać, pomyślała w oszołomieniu. Nieważne, co będzie potem. Nieważne, czy w ogóle będzie jakieś potem. Otwierał się przed nią świat zmysłowych doznań, dotąd nieznany. I chciała tam wejść właśnie z nim, choć nazywano go kobieciarzem, choć ją ostrzegano... Nie miała złudzeń. Rano nie będzie jej całował w ten sposób, nie przygarnie jej do siebie tak chciwie. Rano nie będzie już nic od niej chciał, a ona nie będzie mogła rościć sobie do niego żadnych praw. Wiedziała to doskonale i nie dbała o to zupełnie.

Rano oznaczało perspektywę smutnej, przeraźliwie pustej przyszłości, ale teraz... Teraz było teraz. Mark trzymający ją w ramionach. Jego wargi na jej ustach. Dotyk jego ciała. Ogień w jej żyłach. Tak, teraz, na tych krótkich kilka chwil, ten mężczyzna był jej domem, jej miejscem na ziemi.

- Mark... - wyszeptwała pomiędzy pocałunkami.

W jej głosie brzmiała bezmierna czułość. Jej szept wydawał się Markowi pieśnią, niewypowiedzianą słodką i obiecującą. Zrozumiał, że Tammy nie prowadzi z nim żadnej gry, a jej reakcje nie są obliczone na wywołanie odpowiedniego efektu, ale są najzupełniej szczere.

Kobiety, z którymi spotykał się do tej pory, wiedziały doskonale, jakie zasady rządzi układem. Jemu zależało na atrakcyjnej i eleganckiej partnerce, im na statusie przyjaciółki księcia. Gdy zaczynały sobie zbyt dużo wyobrażać, Mark wycofywał się, lecz nigdy nie oznaczało to złamania czyjegoś serca. To były doświadczone, światowe kobiety, niesklonne do sentymentów.

Tym razem miał do czynienia z osobą zupełnie innego pokroju. Zatopił spojrzenie w błyszczących oczach Tammy i wyczytał w nich coś, czego nigdy dotąd nie widział - bezbrzeżną tkliwość i absolutne przyzwolenie na...

Gdyby teraz z triumfem zwycięzcy chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni, oddałaby mu się z radością. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Na jej rozchylonych wargach błąkał się rozmarzony uśmiech, a w jej wzroku widniało zaproszenie i oczekiwanie.

Oczekiwanie na co? Na wyznania, uczucia, obietnice? Nie. Jedynie na to, co on zechce jej dać, nawet jeśli to będzie tylko jedna noc. Należała do niego - tak długo, jak on zechce. Mówiła mu to bez słów, samym wyrazem twarzy, a Mark doskonale ten przekaz rozumiał. Gdyby tylko chciał, mógł ją wziąć...

Chciał. Nigdy niczego bardziej nie pragnął. Jednak gdyby to zrobił, już nigdy nie potrafiłby się jej wyrzec. To musiałyby być na zawsze. A on nie zamierzał wiązać się na zawsze. Nie umiał kochać. Nie chciał. Nie potrzebował. Nie życzył sobie.

Chociaż...

Tammy nie spuszczała z niego wzroku, jakby odgadywała intuicyjnie, jaką walkę toczył ze sobą w tym momencie. Oto była kobieta skłonna obdarzyć go szczerym uczuciem, równie gorącym i bezwarunkowym, jakim bez wahania obdarzyła swojego maleńkiego siostrzeńca. Kobieta, która z miłości potrafiła zostawić wszystko, co ceniła, i przenieść się na drugi koniec świata.

Nie miał prawa przyjąć takiej ofiary. Nie zasługiwał na to. Był człowiekiem ze skazą, był pozbawiony zdolności kochania. Cała rodzina była naznaczona tym piętnem. Gniazdo zmij... Każda kobieta z zewnątrz, która wchodziła do ich grona, kończyła tragicznie i właśnie dlatego Mark nie zamierzał się kiedykolwiek żenić. Nie chciał nikogo narażać, a już na pewno nie zaryzykowałby życia kogoś takiego jak Tammy. Cudowna kobieta o złotym sercu, wcielenie niewinności... I on miałby uwiązać ją przy sobie i zniszczyć jej życie przez swój brak serca? Tak, jak jego ojciec zniszczył jego matkę?

- Nie mogę - jęknął z rozpaczą.

Uśmiech znikł z twarzy Tammy.

- Nie możesz?

- Nie mogę tego zrobić.

Między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Mark, ja wcale nie oczekuję...

- Wiem - przerwał jej szorstko. - Niczego nie oczekujesz, o nic nie prosisz. Przeciwnie, chcesz mnie obdarować. Ale ja nie przyjmę twojego daru, bo nie chcę niczego zniszczyć.

- Nic nie rozumiem.

Zmusił się, by wypuścić ją z ramion i odsunąć się od niej. Westchnął.

- Jesteś piękna. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Jesteś cudowna. Byłbym najgorszym draniem, gdybym wciągnął cię w to bagno.

- Jakie bagno?

- Myślę o sobie i mojej rodzinie.

- Nie musisz mnie wciągać, już w tym siedzę po uszy.

- Tammy, zrozum! Gdybym cię teraz wziął...

- Och, nie tylko ty byś brał. - Na jej wargach znowu zaigrał uśmiech, tym razem uroczo przekorny. - Jestem dużą dziewczynką, Wasza Wysokość, i wiem, czego chcę. - Na moment zawiesiła głos. - Chcę ciebie.

I cóż miał jej na to odpowiedzieć?

Nic nie mów, idioto, bierz ją na ręce i nieś do sypialni!

Nie! W ten sposób wyrządzi jej krzywdę, a za nic w świecie nie chciałby tego zrobić. Musi znaleźć się z dala od niej, bo inaczej...

- Wyjeżdżam. Natychmiast - powiedział po chwili nieswoim głosem.

Jej uśmiech zgasł w ułamku sekundy.

- Jak to?!

- Wybacz. - Odwrócił się gwałtownie, podszedł do drzwi i otworzył je tak szybko, że Dominik aż odskoczył.

Mark ledwo zwrócił na niego uwagę. - Podaj kolację tylko dla panny Dexter, ja zjem u siebie - rzucił. - I opiekuj się nią.

Nie oglądając się, wbiegł na górę po swoje rzeczy, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Tammy siedziała za suto zastawionym stołem blada jak płótno, z oczami pozbawionymi wyrazu. Dominik usługiwał jej, nie przerywając milczenia i nie przestając jej bacznie obserwować. Nie miała apetytu, więc nawet nie pytał, czy ma podać kawę i deser. Wiedział, że nic więcej nie przełknie i że zjadła kolację wyłącznie dlatego, by nie robić służbie przykrości.

Gdy odsuwał jej krzesło, dobiegł ich warkot silnika. Mark odjeżdżał.

Tammy zbladła jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe. Dominik odruchowo położył dłoń na jej ramieniu, pragnąc ją jakoś pocieszyć.

- Dziękuję - szepnęła z trudem. - Czy... Czy księżę wróci?

Stary kamerdyner wahał się przez chwilę. Nie powinien był wdawać się w taką rozmowę, ale mogła od tego zależeć przyszłość całego kraju. I szczęście tej dziewczyny, która mieszkała w zamku zaledwie od kilku dni, a którą wszyscy zdążyli polubić. Wniosła tu życie i radość. I być może była ich ostatnią szansą... Trudno, w tej sytuacji odstąpi od swoich zasad i pozwoli sobie na niedyskrecję.

- Tak, ale musi go panienka zachęcić. Uciekł, bo się przestraszył.

- Nie rozumiem.

- Jak panienka sądzi, kto by panował w Broitenburgu, gdyby panicz Henry został w Australii?

- Ktoś, kto przejąłby władzę, ponieważ nie byłoby już następcy tronu.

- Niezupełnie. Korona przeszłaby na księcia Marka.

Tammy zmarszczyła brwi.

- Ale on powiedział mi, że wtedy w kraju zapanowałaby anarchia!

- Tak, ponieważ on by tej korony nie przyjął - wyjaśnił Dominik. - Nienawidzi całej rodziny i wszystkiego, co się z nią wiąże. Wie już panienka od Madge, jaki był los jego rodziców. Potem, mniej więcej dziesięć lat temu, przydarzyła się historia z pewną panną, w której księżę Mark się zakochał. Narzeczona każdego z pretendentów do tronu musiała uzyskać akceptację panującego, Mark przywiózł ją więc tutaj, do zamku. Niestety, panna wpadła w oko Franzowi, a ponieważ był pierwszy w kolejce do tronu, z łatwością odbił ją kuzynowi.

- Och, nie!

- To jeszcze nie koniec - powiedział ponuro Dominik. - Księżę Franz się zabawił, ale żenić się nie zamierzał. Rzucił ją, gdy zaszła w ciążę. Wkrótce potem zmarła z przedawkowania narkotyków. Nie mamy pewności, czy to nie było samobójstwo.

Tammy zakryła usta dłonią. To wszystko było straszne. Pomyślała o Marku - bardzo młodym, wrażliwym, podwójnie zdradzonym przez narzeczoną i kuzyna. Serce krajało się jej z bólu.

- Czy teraz panienka rozumie? Każdy jego kontakt z mieszkającą tu rodziną kończył się cierpieniem. Dla niego ten zamek to gniazdo żmij. Nie chce przejąć znenawidzonej korony po Franzu i Jeanie-Paulu. Dlatego, musiał za wszelką cenę przywieźć do kraju Henry'ego. Dzięki temu może być regentem i po upływie dwudziestu jeden lat odzyskać wolność.

- Gdybym więc zabrała Henry'ego z powrotem do Australii... - zaczęła z namysłem.

- Postawiłaby go panienka w sytuacji przymusowej. Sądzę, że ostatecznie księżę poświęciłby się dla dobra państwa i wziąłby na siebie ciężar władzy. Wbrew pozorom ma ogromne poczucie obowiązku. Kocha ten kraj i ludzi. Nienawidzi tylko panowania.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Nienawidzi duchów przeszłości. Tak naprawdę Mark boi się duchów. Czegoś, czego nie ma.

- Tylko jak mu to wytłumaczyć?

Stary kamerdyner i młoda Australijka przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Ty go kochasz, Dominiku! - odkryła nagle Tammy.

- Tak - wyznał z prostotą. - Zawsze służyłem u jego rodziny, tutaj jestem dopiero od miesiąca. Pamiętam Jego Wysokość, gdy był malutkim paniczem Markiem. Opiekowałem się nim. To ja wsadziłem go po raz pierwszy na kucyka, to ja towarzyszyłem mu na pogrzebie jego matki, to ja przyniosłem mu wiadomość o śmierci jego byłej narzeczonej. A teraz znów muszę patrzeć, jak on cierpi, bo zakochał się w panience.

Tammy spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby postradał zmysły.

- Ależ to niemożliwe!

- On panienkę kocha - powtórzył z przekonaniem stary kamerdyner. - Dlatego uciekł.

Kręciło się jej w głowie. Widziała już tylko jedno wyjście z tego zamętu. Powrót do Australii.

- Nie zostanę tu ani dnia dłużej - oznajmiła stanowczo. - Nie mogę.

- Panienska też go kocha.

- Nie! Tak... Och, nie wiem! - Odwróciła się do okna, jakby miała nadzieję ujrzeć oddalające się światła samochodu Marka. - Muszę wyjechać. Jeśli zabiorę Henry'ego, Mark będzie musiał przyjąć koronę i w ten sposób zmierzyć się ze swoją przeszłością.

- Ale nie nauczy się kochać.

Jęknęła i spojrzała na Dominika ze łzami w oczach.

- To jak mu pomóc?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Musiałby chyba zdarzyć się cud, ale tylko panienska może go sprawić.

Nie zmrużyła oka przez całą noc. Biła się z myślami. Co robić, co robić?

Jeśli zabierze Henry'ego do Australii, pozbawi chłopca zarówno możliwości dziedziczenia korony, jak i opieki Marka, którego malec pokochał. Czy wybaczy jej to, gdy dorośnie i zrozumie, co utracił?

A Mark? Do końca życia pozostanie sam, bez żony, bez dzieci. Sam ze swoim smutkiem i cieniami przeszłości.

Może więc powinna zostać? Ale co wtedy? Albo on za-szyje się w Renouys i nie będą się w ogóle spotykać, albo będą się widywać co drugi dzień, przekazując sobie Henry'ego. Każda z tych sytuacji byłaby nie do zniesienia i Tammy chyba by w końcu zwariowała.

Dominik miał rację. Zakochała się... I jednocześnie nie miał racji, ponieważ Mark z całą pewnością nie mógł kochać jej.

Co robić?

W ciągu dnia zadawała sobie to samo pytanie dziesiątki razy, analizowała ciągle obie możliwości i wciąż nie znajdowała odpowiedzi. Mają z Henrym wyjechać czy zostać?

W desperacji tuliła, pieściła i całowała siostrzeńca nawet częściej niż zazwyczaj - aż się bała, że lada moment będzie miał dosyć i zacznie protestować. Jemu jednak sprawiało to wyraźną przyjemność, śmiał się i ciągnął ją za włosy, a jej chciało się płakać, ponieważ nagle stało się dla niej jasne, że istnieje jeszcze trzecie rozwiązanie. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej miała wątpliwości. To było jedyne wyjście. Ale na samą myśl o tym czuła rozdzierający ból. Nie mogła tego zrobić.

Nie mogła, ale musiała.

Była siódma wieczorem. Mark siedział przy biurku w swoim gabinecie, bezskutecznie próbując pracować. Wszystko wydawało się jakieś... inne. Zawsze czuł się tak dobrze w Renouys. Tu mógł się odciąć od wszystkiego, czego nie znosił, a teraz miał wrażenie, jakby jego ulubione miejsce ziało chłodem. Było tu nieprzyjemnie pusto i cicho.

Mógłby zadzwonić do przyjaciół. Miał tylu znajomych, wyśmienite towarzystwo. Wystarczyłoby przecież parę telefonów i w ciągu godziny Renouys zatętniłoby życiem. Albo mógłby sam wpaść do kogoś, potem odwiedzić któryś z ekskluzywnych lokali. Tylko po co?

Nagle dawne rozrywki straciły dla niego cały urok.

Lepiej zrobi, biorąc się do pracy. Wystarczyło jednak, by jego wzrok padł na monitor z planem systemu kanałów nawadniających, a natychmiast zaczął myśleć o Henrym, a skoro o nim, to i o...

Nie. Niech ona siedzi w zamku, zajmuje się swoim siostrzeńcem i swoimi ukochanymi drzewami. Sama.

Zerknął na zegarek. Według jej zwariowanego planu powinien teraz przejąć opiekę nad Henrym. Owszem, zajmie się chłopcem, gdy naprawdę zajdzie taka potrzeba, ale na pewno nie co drugi dzień!

A jednak tak bardzo chciałby ją zobaczyć... Puścił wodze fantazji. Gdyby przyjechała, weszła do gabinetu, padła mu w ramiona...

Dokładnie w tym momencie dobiegł go odgłos nadjeżdżającego samochodu. Zerwał się z krzesła i naraz uprzytomnił sobie, jak głupio się zachowuje. Usiadł z powrotem. To mógł być właściwie każdy, z listonoszem włącznie.

- Tędy, proszę pani - w korytarzu rozległ się głos Andre, zarządcy Renouys.

Usłyszawszy to, Mark bez zastanowienia rzucił się do drzwi, wypadł na korytarz i stanął jak wryty. Jego przeczucie potwierdziło się.

Tammy!

Andre wycofał się dyskretnie, zostawiając ich samych.

Mark pożerał ją wzrokiem. Oczywiście miała na sobie spraną bluzeczkę, dzinsy, tenisówki i... I wyglądała uroczo. Jakim cudem podobały mu się kiedyś takie kobiety jak In-grid? Jak mógł uważać, że kobieta musi być dobrze ubrana i perfekcyjnie zrobiona? Co to ma wspólnego z prawdziwym pięknem?

Tammy nie zastanawiała się nad swoim wyglądem. Cały wysiłek wkładała w to, by się nie rozpłakać. Musiała panować nad emocjami dla dobra Henry'ego. I dla dobra Marka. O swoim dobru myśleć nie mogła. Sobie właśnie łamała serce.

- Cześć. Teraz twoja kolej - powiedziała drewnianym głosem i z determinacją podała siostrzeńca Markowi.

Księżę odruchowo wziął dziecko.

Chłopczyk ucieszył się na jego widok. Próbował powtórzyć ulubioną zabawę i złapać go za włosy. Tymczasem Tammy postawiła na podłodze torbę z rzeczami małego.

- Co to ma znaczyć? - spytał Mark, przyglądając się jej ze zdziwieniem.

Zauważył dziwny wyraz jej oczu. Czy mu się zdawało, czy czał się w nich ból? Ale dlaczego?

- Zostawiam ci Henry'ego. On cię kocha i dobrze mu z tobą.

- Ale ja...

- Ty też go kochasz. - Gdy to mówiła, jej twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu. - Wprawdzie uważasz, że nie jesteś zdolny do miłości, ale oszukujesz sam siebie, ponieważ boisz się zaufać uczuciom. Rozumiem to, sama też przed nimi uciekałam, ale coś się zmieniło. Zakochałam się w tobie, Mark. - Zauważyła jego gest protestu, i potrząsnęła głową.

- Przepraszam, nie powinnam cię tym obarczać. Nie obawiaj się, niczego od ciebie nie chcę, niczego nie oczekuję. Umiem żyć sama, robię to od lat. Jestem dorosła i potrafię się z tym pogodzić, ale z Henrym jest inaczej. On nie może cię stracić. Skrzywdziłbyś go, gdybyś odmówił mu swojej opieki i swoich uczuć, a ja nie pozwolę skrzywdzić Henry'ego.

Zostawiam ci go.

Powiedziała tyle ważnych rzeczy naraz, że Mark nie wiedział, co z tym fantem począć. I te rysy jej twarzy - ściągnięte w opanowaną maskę, która skrywała jakieś cierpienie. Czy to wiązało się z wyznaniem właśnie uczuciem do niego?

- Mam go oddać jutro o siódmej, tak? - upewnił się.

Tammy nie odpowiedziała, odwróciła się i szybko odeszła, by Mark nie dostrzegł łez,



których nie mogła już dłużej powstrzymać.

Doszedł do wniosku, że chyba musiał się przesłyszeć. Jak mogłaby się w nim zakochać? Po pierwsze, znali się zbyt krótko, po drugie, to mogło ją zbyt drogo kosztować. Wiedziała o tym. Jego rodzina siała zniszczenie i śmierć. Każdy związek kończył się tragicznie.

Henry zamachał rączkami i zagulgotał coś wesoło, zmuszając Marka do skorygowania opinii. Nie wszystko kończyło się tragicznie, był jeden jasny punkt...

Jasny punkt uśmiechnął się słodko, a Markowi zrobiło się dziwnie ciepło na sercu. Może powinien przemyśleć wszystko na nowo? Zwłaszcza sprawy związane z uczuciami?

Ale jeśli naprawdę pokocha Henry'ego i postanowi się nim zaopiekować, wytworzy się nieznośna sytuacja. Nie mogą co dwadzieścia cztery godziny zmieniać się z Tammy przy dziecku i wozić małego z domu do domu. W krótkim czasie wszyscy od tego zwariują. Może więc miała rację? Może powinien zamieszkać z nimi w zamku? Ale wtedy straciłby wszystko, na czym mu najbardziej zależało - pełną swobodę!

- Jutro wyjaśnimy twojej cioci, że to głupi pomysł - powiedział do Henry'ego, podając mu biskopczyk. - Mogę cię czasem zabierać do siebie w weekendy, to wszystko.

Kogo próbował oszukiwać? Czuł, że i takie rozwiązanie było nieudolną próbą ucieczki przed uczuciami, które to dziecko budziło w jego sercu, a których wcale sobie nie życzył.

Henry pacnął go biskopczykiem w nos.

- Dzięki, stary - mruknął. - Sam widzisz, że musisz spędzać więcej czasu z ciocią Tammy. Ona nauczy cię ładnie jeść.

Jego myśli znów pobiegły do niej. Co ona powiedziała? Że zakochała się w nim? Musiało się jej coś przywidzieć... A jeśli nawet naprawdę tak było, to będzie musiała się od-kochać. Trudno.

Henry upuścił biskopczyk na dywan i rozplakał się. Mark gorączkowo zaczął go uspokajać.

- Już dobrze, zaraz damy ci drugi, zobacz tu jest biskopczyk, no masz. - Otarł chłopczykowi buzię i uśmiechnął się z lekkim zawstydzeniem. - No dobra, przyznaję się. Ja ktoś tak mi zapadłeś w serce. Ale nie mów nikomu, co? Jutro odwiozę cię do cioci i... I niech tak już zostanie. Nie mogę się ciągle z nią spotykać. Muszę się trzymać na dystans, rozumiesz?

Nie miał pojęcia, że jego pragnienie utrzymania dystansu spełni się szybciej, niż przypuszczał. Zaledwie pół godziny później Tammy weszła na pokład samolotu lecącego do Australii.

- Wyjechała? O czym ty mówisz?

- Wczoraj po dwudziestej miała samolot. - Dominik spojrział na zegarek. - Jest już z powrotem w Sydney.

Mark czuł się kompletnie ogłuszony. Była prawie siódma wieczorem, właśnie przywiózł do zamku Henry'ego, absolutnie przekonany, że na tym koniec bezsensownego przerzucania się dzieckiem. Ponieważ miał to być jego ostatni dzień z Henrym, odłożył na bok wszystkie inne sprawy i poświęcił się wyłącznie bratankowi. Nie miał pojęcia, jak wspaniale można spędzić czas z takim malcem! Owszem, było to męczące, ale jednocześnie dawało tyle radości i energii, że... że warto było.

Zadowolony Henry spał teraz słodko na jego rękach. Dominik uśmiechnął się zagadkowo na ten widok.

- O czym ty mówisz? To niemożliwe! - wybuchnął Mark.

- A jednak, Wasza Wysokość. Panienska Tammy spakowała swoje rzeczy, zawiozła panicza Henry'ego do Renouys i bezpośrednio stamtąd pojechała na lotnisko.

Nie było jej. Nie było. A on nie mógł znieść tej myśli.

- I nikt się nie domyślił, co ona zamierza zrobić? - jęknął Mark.  
- Wiedzieliśmy wszyscy.  
Mark oniemiał na moment.  
- I nikt mi nic nie powiedział?!  
Dominik nawet nie mrugnął okiem.  
- Panienska Tammy prosiła nas o zachowanie dyskrecji w tej sprawie.  
- Nie pojmuję tego! Jak mogła to zrobić? Przyjechała tu opiekować się dzieckiem. Kto teraz zajmie się Henrym?  
- Wasza Wysokość. Taki był zamiar panienski Tammy.  
Markowi zaczynało coś świtać.  
- To jakiś spisek przeciwko mnie.  
- Nie wiem, o czym Wasza Wysokość mówi – odparł z niewzruszoną twarzą Dominik, co tylko utwierdziło księcia w podejrzeniach.  
- Jesteś z nią w zмовie!  
Stary służący z trudem powściągnął uśmiech.  
- Czy Wasza Wysokość każe zakuć mnie w dyby?  
- Należałoby ci się! - huknął Mark, po czym ze znużeniem przejechał dłonią po twarzy. - Dom, o co w tym wszystkich chodzi?  
Dawny opiekun popatrzył na niego ze współczuciem.  
- Panienska Tammy chciała jak najlepiej dla Waszej Wysokości i dla panicza Henry'ego. Zostawiła list, tam pewnie jest wszystko napisane.  
Mark niemal wyrwał mu kopertę z ręki.

*Drogi Marku!*

*Nie powinnam była przyjeżdżać do Broitenburga. Miałaś rację, potrafisz zapewnić Henry'emu najlepszą opiekę. Nie słuchałam Cię wtedy, ponieważ egoistycznie chciałam zatrzymać małego dla siebie. Samotność potrafi bardzo dokuczyć...*

*W Broitenburgu okazało się, że Henry potrzebuje nie tylko mnie, ale i Ciebie. Oczywiście, byłoby najlepiej, gdyby mógł mieć nas oboje, ale przekazywanie dziecka z rąk do rąk jest czymś strasznym. To by mu tylko zaszkodziło, ponieważ nie przywiązałbyś się do niego całym sercem, a on właśnie tego potrzebuje.*

*I Ty też tego potrzebujesz. Przepraszam, jeśli wtrącam się w nie swoje sprawy, ale musisz wreszcie przestać się bać. Nauczyłeś się tłumić uczucia, by już nikt nie mógł Cię zranić. Teraz jednak pojawił się Henry i jakoś znalazł drogę do Twojego serca. To szansa dla Ciebie. Opieka nad nim dobrze Ci robi, pomoże Ci się otworzyć i żyć pełnią życia.*

*Dlatego muszę Was zostawić. Nie ma innego wyjścia. Nie mogę Cię widywać. Nie mogę być blisko Ciebie. Może jestem naiwna, ale po naszych pocałunkach nie potrafię zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Bo stało się.*

*Wiem, nie powinnam była zakochać się w Tobie. To głupie.*

*Wracam do domu.*

*Wszystkiego dobrego, Tammy*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

To był najdłuższy miesiąc w życiu Marka.

Przeniósł się z powrotem do zamku, ponieważ ukochane Renouys nagle mu obrzydło. Stopniowo nauczył się, jak planować dzień, by maksymalnie dużo czasu spędzić z Henrym, jednocześnie nie zaniedbując żadnego ze swoich obowiązków. Na życie towarzyskie nie

zostawała mu nawet jedna chwila, ale jakoś wcale za tym nie tęsknił. Nie pociągało go już przesiadywanie w ekskluzywnych lokalach, prowadzenie błyskotliwych rozmów, otaczanie się wytwornymi kobietami.

Przy Henrym doświadczał czegoś, czego nie potrafił nazwać. Czegoś znacznie głębszego niż kiedykolwiek. Jeśli musiał zostawić go pod czyjąś opieką, choćby nawet najlepszą, nie potrafił się powstrzymać od częstego sprawdzania, czy wszystko w porządku. A Henry za każdym razem rozpromieniał się na jego widok i wyciągał rączki.

A jednak w zamku też mu czegoś brakowało. Nie czegoś, tylko kogoś. Tammy. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej pragnął, by wróciła. Czy po to, by uwolnić go od odpowiedzialności i umożliwić mu powrót do dawnego życia? Nie, nie po to. Nie chciał wracać do dawnych upodobań. Ingrid dzwoniła kilkakrotnie, ale nie miał ochoty na spotkanie z nią. Dzwoniły też inne znajome, ale z podobnym rezultatem.

Niechby Tammy wróciła... Niestety, znał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie wróci. Właściwie po co miałyby wracać? Nie miał jej nic do zaoferowania.

Prasa coraz usilniej domagała się zdjęć następcy tronu. Mark odwlekał to tak długo, jak się dało, w końcu jednak po trzech tygodniach uległ presji i zezwolił na sesję fotograficzną w ogrodach zamkowych. Pstrykały aparaty, błyskały flesze, a zachwycony wesołą zabawą Henry śmiał się i wymachiwał ukochanym misiem. Reporterzy cmokali z zachwytu.

- Jaki bystry! - chwalili małego księcia.
- Tak, to wspaniałe dziecko - przytaknął Mark, nie kryjąc dumy, co dziennikarze skwapliwie wykorzystali, robiąc kolejną serię zdjęć.
- Krążą słuchy, że Wasza Wysokość chce usynowić małego księcia?
- Tak, niedługo wystąpię z wnioskiem o adopcję - potwierdził Mark.

Schylił się i posadził Henry'ego tuż obok swojej nogi, wiedząc, że ostatnio chłopczyk lubił się bawić w następujący sposób: chwycił nogawkę spodni stryjka, podciągał się do pozycji pionowej, a potem z rozmachem opadał z powrotem na pupę.

- Skoro będzie syn, przydałaby się również i mama...- zasugerowała jakaś dziennikarka. Mark spochmurniał i zacisnął usta.

W tym momencie bratanek złapał go za nogawkę, podciągnął się do góry i stanął. Mark spojrzał na niego, oczekując, że dziecko jak zwykle usiądzie mu na stopie, a tymczasem Henry...

Henry wykonał pierwszy w życiu krok. Mark wstrzymał oddech. Błysnęły flesze. Chłopczyk chwiejnie zrobił drugi krok i klapnął miękko pupą na trawę, wyraźnie usatysfakcjonowany swoim osiągnięciem. Rozległy się oklaski i gratulacje, dziennikarze nie posiadali się z zachwytu, że mały poczekał z takim popisem specjalnie na nich. Co za wspaniały materiał!

Mark pękał z dumy.

Tammy też powinna tu być, przemknęło mu przez głowę i w tym momencie wszystko stało się dla niego jasne. Ona mu to podarowała. Ponieważ wychowywała siostrę, znała wszystkie cienie i blaski zajmowania się małym dzieckiem. Wiedziała, jak wielką radość sprawia pierwszy krok dziecka. Potem pewnie pierwsze słowo, pierwszy rysunek, udana jazda na rowerze... Tammy wyjechała dlatego, bo chciała, by wszystkie te wspaniałe chwile przypadły w udziale jemu. Wyrzekła się wszystkich szczęśliwych chwil. Dla niego. Bez słowa skargi poświęciła to, co było dla niej najcenniejsze.

I nagle Mark zrozumiał, czym naprawdę jest miłość.

Matka zadzwoniła na komórkę w środku nocy, nie przejmując się porą.

Od miesiąca Tammy znów spała w namiocie pod gwiazdami i wspinała się po drzewach, ale ani na moment nie potrafiła przestać myśleć o pewnym małym księstwie leżącym po

drugiej stronie globu. Nieustannie odczuwała pokusę, by skontaktować się z panią Burchett lub Dominikiem i zasypać ich gradem pytań o Marka i Henry'ego. Nie. Już wybrała. Powierzyła siostrzeńca opiece ukochanego mężczyzny, a sama usunęła się w cień. Tak musi zostać. To jedyna możliwość.

- Czy wiesz, co się stało? - spytała Isobelle ostrym tonem. - Widziałas gazety?

Tammy oprzytomniała w ułamku sekundy. Serce skoczyło jej do gardła. Czyżby któryś z nich...

- Nie, nic nie wiem. O co chodzi?

- Księżę Mark wystąpił o adopcję Henry'ego. Pozuje z nim do zdjęć i wygląda jak zachwycony ojciec, też coś!

- Naprawdę? - ucieszyła się Tammy.

Wyglądał jak zachwycony ojciec... Więc się udało.

- Nie wiem, co się za tym kryje i co on chce przez to wygrać, ale jedno jest pewne, nie może usynowić dziecka bez twojej zgody. Rozmawiałam z prawnikami. Księżę będzie musiał przysłać ci papiery do podpisania. Zastanów się, ile możesz zażądać za zrzeczenie się praw do opieki nad Henrym. Dobrze to rozegraj. Musisz wyczuć, jak bardzo mu na tym zależy.

Tammy wpatrywała się w ciemność.

- Wiesz, mam, oprócz pieniędzy są na świecie jeszcze inne rzeczy - powiedziała powoli.

- Oddałam Markowi Henry'ego z własnej nieprzymuszonej woli.

Isobelle wściekła się

- Ależ ty jesteś głupia! Mogłaś się dobrze ustawić, a zamiast tego będziesz do końca życia łązić po drzewach jak małpa. Idiotka!

- Wiem, zawsze mi to powtarzasz - skwitowała Tammy i rozłączyła się.

Nie mogła zasnąć. Wstała, ubrała się, wsiadła do rozklekotanej furgonetki, która od lat służyła zespołowi Douga, i udała się do najbliższej stacji benzynowej, odległej o godzinę jazdy. Przerzuciła kolorowe magazyny na stojaku i znalazła to, czego szukała. W jednym z tygodników widniało zdjęcie Marka, który podnosił do góry roześmianego Henry'ego. Obaj wyglądali na bardzo szczęśliwych.

Ona też była szczęśliwa, chociaż po twarzy spływały jej łzy i kapały na otwartą gazetę. Miała rację. Dokonała właściwego wyboru. Tylko że to tak strasznie bolało...

Gdy księżę przyjechał, Tammy siedziała na drzewie.

- Hej, masz gości! - zawołał z dołu Doug, po czym wycofał się z uśmiechem.

Podejrzał, że przyjdzie mu stracić najlepszego pracownika, ale był gotów pogodzić się z tym. Miesiąc wcześniej Tammy wróciła z Europy dziwnie milcząca i blada. Ze zbyt wieloma ludźmi w życiu pracował, by nie rozpoznać symptomów. Miłość. A ten przystojniak z dzieckiem na ręku, który spytał go, gdzie może znaleźć Tammy, wyglądał jak przyczyna tej przypadłości, a jednocześnie lekarstwo na tę dziwną chorobę.

- Cześć - powiedział beztrząsco Mark, patrząc na huśtającą się ponad jego głową dziewczynę.

To była inna polanka i inne drzewo niż poprzednio, ale ta sama cudowna kobieta, która znowu wisiała wysoko nad ziemią w swojej uprzęży i patrzyła na niego z góry.

Zakreśliło się jej w głowie, bynajmniej nie od wysokości.

- Co ty tu robisz? - spytała łamiącym się głosem.

Mark z uśmiechem posadził Henry'ego na miękkiej trawie porastającej polankę.

- Przepraszam cię na chwilę, ale muszę przedyskutować pewną sprawę z twoją ciocią - powiedział do malca, po czym podskoczył, chwycił najniższy konar eukaliptusa, na którym pracowała Tammy, i podciągnął się zwinnie.

Zatkało ją na moment.

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęła przestraszona. - Nie masz upręży! Może ci się coś stać!

- Już mi się stało - odrzekł spokojnie, wspinając się wyżej.

Miał na sobie zwykle dzinsy i sweter, a przecież wyglądał tak zabójczo, że aż zaczynało brakować jej tchu.

- Jak to? Co ci się stało?

Wspinał się dalej z taką pewnością siebie, jakby spędził pół życia, chodząc po drzewach.

- Zakochałem się w tobie.

Tym razem замуrowało ją na dobre, a Mark uśmiechnął się szeroko, choć nie do końca było mu do śmiechu. Tammy znajdowała się naprawdę wysoko, a on wcale nie był taki dobry w chodzeniu po drzewach, jak próbował udawać. Naprawdę wolałby nie spaść...

Przynajmniej zanim jej nie pocałuje.

Nie po to przecież przebył pół świata, żeby teraz skrócić sobie kark.

Podciągnął się po raz ostatni i usiadł na gałęzi, obok której kołysała się Tammy. Chwyił dziewczynę w tali i przyciągnął do siebie, przez co omal nie stracił równowagi. Teraz z kolei Tammy złapała go i przytrzymała, by nie spadł. Dobrze, że miała na sobie uprząż, bo to oznaczało, że przynajmniej jedno z nich było zabezpieczone, a skoro jedno, to oboje, bo żadne nie puściłoby tego drugiego. Za nic w świecie.

- Tęskniłaś za mną? - spytał.

Co za głupie pytanie, odpowiedziało jej spojrzenie.

Patrzyła na niego tak, że tym razem jemu zaparło dech.

Była taka cudowna... Włosy miała splecione w warkocz, a na czubku jej nosa widniała ciemna smuzka - widać ocierała sobie twarz zabrudzoną dłonią. Mark wpatrywał się w drobną twarz Tammy z absolutnym zachwytem, zakochany do szaleństwa.

- Przyjechałeś, żebym podpisała papiery i zrzekła się praw do Henry'ego?

- Nie. Przyjechałem, bo wreszcie rozumiem.

Przytrzymała go mocniej, oczywiście tylko po to, żeby mnie spadł.

- Co rozumiesz?

- Jak dużo mi dałaś. Henry jest cudowny.

Jej serce zaczęło śpiewać z radości.

- Wiem.

- Tak, ty to wiedziałaś od pierwszej chwili. I oddałaś mi go, żebym i ja mógł poczuć, czym jest miłość i prawdziwe szczęście. Tammy, jestem teraz innym człowiekiem. Henry mnie wyleczył. Ty mnie wyleczyłaś, ofiarowując mi taki dar. Ale ja wciąż nie znałem jego wartości. Myślałem, że zrobiłaś tylko to, na czym i mnie zależało, czyli uwolniłaś się od odpowiedzialności. - Nagle jego twarz rozjaśniła się niezwykłym uśmiechem. - A potem Henry zrobił pierwszy samodzielny krok.

- Co? On już chodzi?! - zawołała Tammy z zachwytem, bardzo przejęta.

- Tak. Zrobił to na oczach tłumu dziennikarzy, bo stało się to w czasie konferencji prasowej. Rozumiesz, widziało to kilkadziesiąt obcych osób, a ty nie! Właśnie ty - najważniejsza osoba, która powinna przy tym być. Nie możesz więcej tracić takich chwil, Tammy. To niesprawiedliwe. Nie godzę się na to.

Potrząsnęła głową, ani na moment nie odrywając jednak uszczęśliwionego spojrzenia od jego twarzy. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, że znów go widzi, że naprawdę ma go przy sobie.

- Mark, ja nie mogę...

- Zając się z powrotem Henrym na poprzednich zasadach? Wcale ci tego nie proponuję, za dużo bym stracił. Chcę być za niego odpowiedzialny. I za mój kraj też. - Popatrzył na nią z powagą. - Przeszłość jest już zamknięta. Teraz jestem naprawdę gotów przyjąć na siebie obowiązki zarówno głowy państwa, jak i opiekuna Henry'ego. Postaram się wywiązać ze

wszystkiego jak najlepiej i nie powtarzać starych błędów, ani błędów mojej rodziny. Zmieniłem się. Dzięki tobie.

- Przecież ja nic takiego nie zrobiłam - zaprotestowała.

- Jak to nie? Cały czas robisz! Patrzysz na mnie takim wzrokiem jak teraz, ufasz mi, kochasz...

- Mark, ja nie...

- Tylko mi nie mów, że już mnie nie kochasz! - przeraził się. - Nie rób mi tego! Nie mów, że zniszczyłem twoje uczucie przez własną głupotę. - Jego głos stał się żarliwy, błagalny. - Tammy, co ja bez ciebie zrobię? Przyjechałem prosić cię o rękę, kocham cię, pragnę, potrzebuję. Wróćmy razem do Broitenburga, zostanmy mężem i żoną, rodzicami Henry'ego. Proszę, kochaj mnie. Wyjdź za mnie. Zrobisz to? - Patrzył na nią w napięciu.

Zatopiła spojrzenie w oczach mężczyzny, którego kochała całym sercem.

- Oczywiście. Jak możesz w to wątpić? - szepnęła.

Mark wcale nie wiedział, czy usłyszy właśnie taką odpowiedź. On, który kiedyś był tak pewny siebie...

- Naprawdę? - zawołał z nagłą radością.

Ręka mu się trzęsła, gdy sięgał do kieszeni dzinsów. Twarz mu się śmiała, oczy pałały, serce zdawało się śpiewać. Półprzytomny z przejęcia, wyciągnął pudełeczko obciążone pasowym aksamitem, otworzył je i... ach!

Tammy zdążyła jeszcze zobaczyć, jak promień słońca zatańczył na przepięknych brylantach, zanim pierścionek wypadł z drżących palców Marka i wleciał między gałęzie eukaliptusa.

Bawiący się pod drzewem Henry zauważył błyszczące чудо, które upadło tuż obok niego. Wziął je do łapki i z wielkim zainteresowaniem zaczął je oglądać.

- Jeśli on trzyma w swoich rękach to, co myślę, że trzyma... - Tammy urwała, ponieważ lzy wzruszenia dławili ją w gardle.

- Trzyma w swoich rękach naszą przyszłość - powiedział Mark i pocałował ją tak, jakby składał obietnicę, że to dopiero początek wspólnych radości.

- W takim razie zejdźmy na dół, zanim spróbuje ją zjeść! - Zaśmiała się przez łzy.

- Przyszedł list od Tammy - powiedział Doug, gdy wszyscy członkowie jego zespołu wrócili do obozu i zasiedli wokół ogniska, nad którym wisiał kociołek z wodą na herbatę. - Przeczytam wam.

*Kochani moi!*

*Dziękuję za list i życzenia. Jestem tak zajęta i jest mi tu tak dobrze, że nawet nie tęsknią za Australią, ale za Wami - tak.*

*Adoptowaliśmy Henry'ego, Mark zajmuje się reformami, a ja dbam o okoliczny drzewostan, który liczy sobie ponad trzysta lat. Nie macie pojęcia, jakie wspaniałe okazy tu rosną! Niestety, wiele z nich potrzebuje natychmiastowej pomocy, a ja nie dam rady wykonać całej pracy, tym bardziej że Mark od jakiegoś czasu zabrania mi chodzenia po drzewach. Czy zgadniecie, dlaczego, jeśli podpowiem, że zrobiłam się trochę grubsza i że oboje jesteśmy z tego powodu niezmiernie szczęśliwi?*

*Z tym jest związana serdeczna prośba, jaką do Was mamy. Czy cała Wasza wspaniała czwórka nie zechciałaby na kilka miesięcy zostawić Australii i przybyć na ratunek drzewom w Broitenburgu? Zgódźcie się, proszę, i przyjeżdżajcie jak najszybciej!*

*Całuję,  
Tammy*

Doug schował list do kieszeni.

- To diabelnie daleko - powiedział w zamyśleniu. - I pewnie nie dostanie się tam dobrego steku. Każą nam jeść jakieś trufle czy inne obrzydlistwo.

- A ja zawsze chciałam spróbować trufli – wtrąciła Lucy.

- I fajnie byłoby trochę pomieszkać w takim miejscu. - Mia otworzyła kolorowy magazyn, w którym zamieszczono zdjęcia ze ślubu Tammy.

Ślub odbył się pół roku wcześniej. Pan młody miał na sobie galowy mundur i szpadę przy boku, zaś panna młoda piękną suknię z bardzo długim trenem. Ale bardziej niż olśniewające stroje rzuciła się w oczy promienna radość malująca się na twarzach księżęcej pary. Widać było, że łączy ich autentyczne uczucie i że niczego nie udają ze względu na obecność gości i mediów.

Największa fotografia ukazywała młodą parę na trawniku przed niezwykle pięknym zamkiem z białego kamienia. Obok nich jakiś starszy dżentelmen z miną dumnego dziadka trzymał na rękach Henry'ego. Jak wynikało z podpisu pod zdjęciem, był to niejaki Dominik, dawniej główny kamerdyner, a obecnie zarządca zamku. Z tyłu stała reszta służby, a wszyscy wyglądali na głęboko i autentycznie wzruszonych.

Lucy westchnęła tęsknie.

- To chyba szczęśliwe miejsce.

- Jak z bajki - dodał Danny. Miał prawie siedemdziesiąt lat i nigdy w życiu nie wyjeżdżał z Australii. – Te wszystkie wieże i inne cudenka... I nasza Tammy w tych welonach...

Wygląda jak księżniczka.

- Bo ona jest księżniczką, Danny! - wtrąciła Mia i wszyscy się roześmiali.

- Tammy nas o coś prosiła - przypomniał im Doug. -Musimy się zastanowić, co robimy.

Przez chwilę milczeli.

- Jak to co? - Danny wzruszył ramionami. - Nie odmawia się księżniczce. Jedziemy do tych jej drzew.